

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: „Koniec Europy“. — Marjan Zdziechowski: W sprawie rozwoju idei polskiej na Kresach. — Dr. Bercecius Parago: Sprawa żydowska w oświeceniu apostoła Marizmu. — Aleksander Ringman: Śląsk Górny w r. 1923. — I. Moszczeńska: My, postępowcy. — Reflektor: Na marginesie. — R.: Julian Benda. — Wiktor Brumer: Wrażenia Teatralne. — O Masaryku. — Lew Tolstoj: Ojciec Sergjusz (odcinek).

„KONIEC EUROPY“.

Jeszcze w 1898 r. hr. Witte w rozmowie z cesarzem Wilhelmem przepowiadał upadek Europy, jeżeli mocarstwa europejskie będą traciły siły swoje na zbrojenie się i walki wzajemne. Po strasznej burzy zniszczenia, którą rozpełtał jeden z uczestników tej rozmowy, upadek Europy w tem znaczeniu, że Europa straciła przodujące stanowisko w życiu politycznym i ekonomicznym świata, ustępując swoje miejsce Ameryce, stał się faktem dokonany. Teraz pesymiści mówią już nie o upadku Europy, lecz o końcu jej, o końcu cywilizacji europejskiej, kultury zachodniej. Największy rozgłos z rozpraw na ten temat zyskało dzieło Oswalda Spenglera *Der Untergang des Abendlandes* (Upadek Zachodu), o którym w tych dniach w Warszawie wygłosił odczyt p. Czapiński. Z polskich autorów najwymowniej o „końcu Europy“ pisał prof. Florjan Znaniecki, którego dzieło „Upadek cywilizacji Zachodniej“ było szczegółowo zreferowane w „Tygodniu Polskim“ jeszcze w 1921 r., zaraz po ukazaniu się tej nader ciekawej książki, i prof. Marjan Zdziechowski w książce „Europa — Rosja — Azja“, o której pisaliśmy w poprzednim numerze *Tygodnia*.

I prof. Znaniecki i prof. Zdziechowski największe niebezpieczeństwo dla cywilizacji naszej, najgroźniejszy objaw zaczynającego się rozkładu jej widzą w bolszewizmie, jako prądzie rozkładającym siły twórcze życia społecznego, burzącym jego moralne podstawy.

Pogląd ten bardzo odbiega od powszechnie panującego mniemania, że bolszewizm już nie jest niebezpiecznym dla Europy, albowiem system komunistyczny ostatecznie zbankrutował w Rosji, a wpływy komunistów wśród robotników na Zachodzie w ostatnich czasach też bardzo zmalały.

Fakty te, bankructwo komunizmu w Rosji i upadek wpływu jego na zachodzie, jednakże nie przeczą wywodom prof. Znanieckiego i Marjana Zdziechowskiego, jeżeli niebezpieczeństwo

bolszewizmu przedewszystkiem w moralnym rozkładzie, który niesie z sobą ten prąd współczesny. Bolszewizm nigdy nie odnosił takich tryumfów nad etyką, nad zasadami prawa i moralności, jak właśnie teraz, kiedy zbankrutowały te zasady, w imię których dawniej popełniał swoje zbrodnie. Bolszewizm, bez żadnych osłonek, bez żadnych zasad, jako prosta organizacja bandycka trzymająca się przy władzy a uzyskująca coraz więcej uznania na Zachodzie, to największy tryumf cynizmu moralnego, siły rozkładającej etyczne i prawne podstawy życia społecznego. Dawniej, kiedy bolszewizm burzył, niszczył i mordował w imię nowych zasad organizacji społecznej, to nawet największy przeciwnik tych zasad mógł jednakże znaleźć pewne usprawiedliwienie dla walki o zasady. Przecież proces narodzin zawsze jest procesem bolesnym, krwawym i nie estetycznym. Prawda przychodząca na świat także brzydko wygląda, jak i nowonarodzone dziecko. Optymiści mogli ludzić się nadzieją, że krwawy zamęt bolszewicki, to — właśnie męki porodu nowych form życia, a pesymiści niewierzący w te nowe formy mogli jeszcze ludzić się, że ci co krew przelewają i gwałcą w imię tych nowych form, przynajmniej sami szczerze w nie wierzą.

Ale oto prysły wszelkie złudzenia: bolszewicy zachowując swoje metody gwałtu, nie zrzekając się władzy, najspokojniej w świecie wyrzekają tych zasad, dla których gwałcili i zaczynają przywracać porządek, dla którego zburzenia tyle krwi przeleli, tyle zbrodni popełnili.

Zdawało by się, iż okrzyk oburzenia powinien był wyrwać się z piersi ludzkości, że wszystkie narody powinny być solidarne w napiętnowaniu tej niesłychanej zbrodni... A cóż widzimy: właśnie wówczas narody ucywilizowane zachodu, zaczynają dążyć do rozwiązania stosunków z „bandytami“, do uznania władzy sowieckiej. I na tę drogę ma wstąpić i Francja, która dotychczas stała na straży prawa.

Francja jeszcze nie odważyła się na ten

krok, ale społeczeństwo francuskie już zamyka oczy na to, że pakt z bolszewikami to największa kapitulacja prawa przed bezprawiem.

Komunizm zbankrutował to — oczywista. Ale czyż nie jest również widocznym, że przed zbankrutowanym komunizmem kapituluje kapitalistyczna Europa, i bankrutują zatem te zasady prawne i moralne, na których cywilizacja zachodnia opierała się.

Pozbawiony podstaw prawnych i moralnych ustrojów cywilizacyjny jakiś czas trwać może, ale czy długo?

W SPRAWIE ROZWOJU IDEI POLSKIEJ NA KRESACH*).

I.

Wezwany przez prezydium Zjazdu do wygłoszenia referatu w sprawie rozwoju idei polskiej tu, na Kresach, nie miałem, wyznając, odwagi tego zadania się podjąć. Ustąpiłem wkońcu naleganiom, zaznaczając, co ponownie teraz powtarzam i podkreślam, że to, co powiem, będzie tylko zagajeniem, tylko słowem wstępem do dyskusji. Programu bowiem nie przynoszę żadnego, żadnych tez nie stawiam, stawiam tylko pytania. Nie roszczę pretensji do nauczania panów; przeciwnie, sam bym nauczyć się chciał i żywić nadzieję, że może z dyskusji spadnie światło jakieś na tę mgłę i ciemność, jaką jest obchodząca nas sprawa.

Ciemną nazywam sprawę tę, bo się wiąże najściślej z kwestją narodowościową. Dziś, w epoce rozpasanych szalejących pożądlivosti i namietności nacjonalistycznych, gdy hasło „samostanowienia“ budzi coraz to nowe a przedtem nieznanne narodki, a każdy taki nowonarodzony naród staje się nowem nieszczęściem dla ludzkości, z tego powodu, że nasywanie apetytów jego, tem żarliwszych, im zasługi mniejsze, niczem innym nie jest, jak cofaniem wstecz umysłowej i duchowej kultury świata — dziś nacjonalizm, który odróżniać należy od patriotyzmu, stał się taką samą plagą, jaką w wieku XVI i XVII był fanatyzm religijny. Tak samo niszczy w człowieku zmysł moralny, tak samoprowadzi do masowych obłędów i szerzy zdziczenie, którego najjaskrawszy w chwili obecnej wyraz mamy w stworzeniu amerykańskim, znanem pod dziką nazwą Ku-Klux-Klan. Zaczniemy od przyjrzenia się samym sobie w tem powiększającym zwierciadle, ażeby widok ten zbawienną grozą nas przejął.

Wymieniona organizacja powstała po zniesieniu niewolnictwa murzynów w r. 1867. Powstała w celu walki z murzynami; jako środek, wybrano mordowanie ich skrytobójcze albo jawne, o ile bezkarności mogła być zapewniona. Ale mordowanie i torturowanie murzynów ideą nie jest. Idei zaś szukano i dopiero w czasie wojny ostatniej znalazły ją w postaci nacjonalizmu wojska amerykańskiego w Europie. Odtąd ideową podstawą ruchu jest wojna przeciw wszystkiemu, co nie

jest amerykańskie rasą, językiem, wiarą. „Wykluczamy żydów — głosi program Ku-Klux-Klanu¹⁾ — gdyż nie wierzą w Chrystusa; wykluczamy *Katolików*, gdyż uznają władzę Papieża, władzę nie amerykańską. Wykluczamy wogóle wszystkich należących do jakiegokolwiek wyznania nie swoiście amerykańskiego. Uważamy za konieczne pozbażyć osoby rasy żółtej i czarnej praw obywatelskich, aby zapewnić rasie białej przewagę we wszystkim, gdyż jest ona przez Boga po to stworzona, by panowała nad ludami kolorowymi. Chcemy, by Ameryka była dla Amerykanów i pragniemy oczyścić ją z obcych naleciałości“.

„Oczyścić“ — drogą mordów, podpalania i wszelkich rodzajów niszczytelstwa Amerykanin, mr. Buzon określa ruch ten, jako „najdziwaczniejszy amalgamat purytańskiego faryzeuszostwa i barbarzyństwa, rozwijającego się na psychicznym podłożu pretorjanizmu włoskiego, kwakerstwa amerykańskiego i zarazy rosyjskiej“. Wojnę z katolicyzmem zaznaczyli członkowie zbójckiej organizacji spaleniem dwóch katolickich katedr: w Québec i w Montreal; w r. 1921 jedno z ich pism wydało numer p. t.: „Zabijcie papieża“, a z wezwaniem do podpisania petycji do rządu, żądającej pozbawienia katolików prawa wyborczego oraz prawa zajmowania posad rządowych. Stanowią dziś siłę, której rząd już nie jest w stanie zwalczyć. Tak wygląda europejski nacjonalizm na gruncie amerykańskiej bezwzględności i brutalności...

Ale czy nie wchodzimy i my na tę samą drogę, zapominając, że mordy polityczne, choćby w dobrej wierze dokonywane, nie przestają być zbrodniami, podnosimy ich sprawców do wysokości bohaterów narodowych, tem samem zachęcając do naśladowania ich, do nowych zamachów przeciw kierownikom państwa, o ile się oni dla tych lub innych powodów nam nie podobają? Wobec takich przerażających objawów opadania poziomu moralnego w szerokich, niestety, sferach społeczeństwa naszego nietylko ja, ale, sądzę, żaden polityk czynny i żaden myśliciel polityczny nie zdoła stworzyć programu, o którym mogłoby powiedzieć, że zawiera rzeczywiste lekarstwo przeciw spustoszeniom wywołanego nacjonalizmu.

Różnolity narodowościowo kraj nasz stanowi część Litwy historycznej — i nas — ludzi mego pokolenia — wychowywano, jako litwinów, oczywiście w tem znaczeniu, w jakim był nim Mickiewicz, gdy wołał: „Litwo, ojczyzna moja“. W dzieciństwie uczono mię, wraz z historją Polski, także historii Litwy; dzięki temu za bohaterów narodowych uważałem nietylko tych, co Polskę budowali, ale i tego, który Litwę od Polski oderwać zamierzał. — W. Ks. Witolda. Któż jednak wtedy nad tą niekonsekwencją się zastanawiał. I gdyby mię dziś zapytano, kim w głębi serca się czuję, powiedziałbym, że się czuję obywatelem W. Księstwa Litewskiego nierozzerwalnie Unją złączoną z Polską. Gdy widzę powiewający tu z Góry Zamkowej sztandar z orłem, a bez Pogoni, odczuwam to, jako krzywdę sobie wyrządzoną.

Takim jest tylko głos serca. Każdy z nas

*) Referat, ten wygłoszony w Wilnie w dn. 8 lutego b. r. na jeździe rolniczym z całej Polski, wywołał wśród zgromadzonych silną opozycję. W wileńskim organie Chr. J. N. pisano, że przeszedł najgorsze oczekiwania.

¹⁾ Patrz „Czas“ z 1 lutego 1923.

wle i rozumie, że koncepcja państwa Litewskiego w unji z Polską, choćby najściślejszej, jest nierealna, gdyż państwo takie byłoby państwem litewsko-polsko-białorusko-żydowskim, krócej mówiąc, żydowskim, żydzi bowiem, jako całość zwarta, finansowo najsilniejsza, mając pod sobą Litwinów i Białorusinów, tem samem zepchnęliby polskość na ostatnie miejsce. Czyli chcieć czegoś podobnego, to zgadzać się z góry na osłabienie nasze. Czyżby więc słuszność była po stronie przeciwnej nacjonalistycznej koncepcji, wcielającej ziemie te do Polski i pozbawiającej je ich odrębnego charakteru?

Także nie, bo do polonizowania jesteśmy za słabi, zalecać zaś, jak się to robi w niektórych gazetach naszych, metody faszystowskie to znaczy nie wiedzieć, czym faszizm jest, nie rozumieć tego, że narodzić się on mógł tylko na gruncie psychiki zupełnie odmiennej od naszej. Włosi przy swoim bujnym, południowym temperamentem mają nadzwyczaj wyrobione czucie rzeczywistości, są narodem trzeźwym, wyrachowanym i są dumni z tego. Mussolini jest pod tym względem wcieleniem geniusza włoskiego, czyli energii połączonej ze zdrowym, praktycznym rozsądkiem, z tym zmysłem granic i miary, którego nam tak bardzo brakuje. *Il politico del limite della misura* — słowa te widzę aż do znudzenia przy każdej sposobności powtarzane w książce o faszyzmie i o Mussolinim, przez przyjaciela jego napisanej²⁾. I, jako „polityk granic i miary“, prowadził Mussolini podwójną walkę: jedną z szerzącym się po Włoszech komunizmem, przed którym i rząd i społeczeństwo czuły się jednako bezsilnymi — i plugastwo to w rosyjsko-bolszewickich wyziewach rodzone wytepił; druga walka była wewnętrzna, ze skrajnymi żywiołami we własnej organizacji: więc „gwalt za gwalt“, ale nie gwalt, jako cel, przeciwnie, wspańiałość wobec pokonanego przeciwnika, wobec zbałamuconych ofiar obcych wpływów. *„Se il fascismo perde in senso dellimitate, perdera la vittoria“* (utrata zmysłu miary będzie utratą zwycięstwa) — tak głosił wódz ruchu w jednej z mów swoich, w przededniu objęcia steru rządów. — To jedno; poza tem miejmy na uwadze, że wypędzając jedno zło przez drugie, komunizm przez nacjonalizm, wódz faszystów mógł to robić bez obawy wprowadzenia zamętu w stosunki wewnętrzne Włoch. W państwie włoskiem przed wojną pierwiastków niewłoskich wcale prawie nie było, ludność zaś niemiecka i słowiańska w krajach przyłączonych do Włoch po wojnie nie jest dość liczną, aby mogła poważnie naruszyć jednolitość państwową. Dzięki temu nacjonalizm faszystowski skierował się na zewnątrz, jest dążnością do wzmożenia wpływu włoskiego w sprawach polityki światowej, jest dość dalekiem w danej chwili marzeniem o zagarnięciu Dalmacji czy Albanji; nie grozi niesnaskami wewnętrznymi, wojną domową, jak u nas.

O obu drogach, stojących przed nami do wyboru w polityce naszej względem mniejszości narodowych — walka z niemi albo szukanie ugody — powiedzieć możemy, że jakkolwiekbydą postąpił, zawsze źle będzie. Wobec tego pytanie

stawiamy w następującej formie: które z dwojga złego jest mniejsze, choćby tylko o odrobinę mniejsze.

Motywy zarówno polityczne, jak i etyczne, każą przechylić się na stronę ugody. Z naciskiem zaś podkreślam motywy etyczne, w przekonaniu, że wobec grozy psychicznego stanu dzisiejszego świata, będą one musiały, siłą rzeczy, wkrótce wkroczyć do dziedziny polityki, od której tak bezwzględnie dotychczas były usuwane. Postaram się to stanowisko moje wytłumaczyć.

My wszyscy, nietylko Polacy, świat cały kształconym był w kulcie dla idei postępu. Kult ten stawał się niemal religją, sam wyraz „postęp“ budził zabobonną cześć. Dziś, po wojnie, świadkami jesteśmy ostatecznego bankructwa „religji“, tej, która zresztą nigdy mocnej podstawy pod sobą nie miała z powodu dysproporcji, im dalej, tem bardziej rosnącej między postępem w nauce, wiedzący za sobą odkrycia i wynalazki w dziedzinie technicznej, o jakich przodkom naszym się nie śniło, a postępem moralnym. Tyle się mówiło i dziś jeszcze mówi o ciemności i barbarzyństwie wieków średnich. Przypomnijmy jednak, że nad epoką tą świeciła uniwersalityczna idea chrześcijańska wielkiej rodziny narodów, której symbolami były tak Papiestwo, jak i Cesarstwo niemieckie (*das heilige römische Reich deutscher Nation*). A idea ta działała łagodząco na namiętności polityczne. W w. XVI, wraz z początkiem Reformacji, miejsce uniwersalizmu chrześcijańskiego przywłaszczają sobie egoizmy państwowe i doprowadzają do kultu państwa, jako najwyższej świętości. Przeciwno temu z całą mocą natchnienia występuje w wieku zeszłym myśl polska. Państwu, temu tworowi wysiłków ludzkich, przeciwstawia ona narodowość, jako dzieło Boże i marzy o powszechnej harmonji narodów, gdyż narody w ludzkości tem są, czem nuty w akordzie, urzeczywistnienie zaś owej harmonji będzie, jak się wyrażał Krasieński „przemianieniem sfery polityki w sferę religji“.

I nietylko w Polsce; w Europie też snuto podobne marzenia aż do roku 1848. Potem następuje szybkie zwyrodnienie idei narodowościowej, która odtąd rozwija się nie w słońcu uniwersalistycznej idei chrześcijańskiej, lecz pod wyjątkowym wpływem koncepcji państwa, jako tej formy, którą każda narodowość, usiłując wyzwolić się z pod obcej przemocy czy opieki, przybrać musi. Słowem, naród-państwo staje się celem i zarazem przedmiotem kultu. A narody-państwa, im się czują silniejszymi, tem bardziej, nie przestając na zamknięciu się w granicach przyrodzonych, które zresztą są rzeczą więcej, niż rzadką, dążą do rozszerzenia ich w imię rozmaitych czy to politycznych, czy strategicznych, czy ekonomicznych konieczności. W tym zaborczo-imperjalistycznym kierunku szły wielkie mocarstwa europejskie — i to wywołało straszną wojnę narodów.

Z tego powodu w czasie wojny i po wojnie, na Kongresie Wersalskim obłudnie wysuwano przeciw wielkim narodom - państwom zasadę opieki nad narodami małymi, głoszone hasło „samostanowienia“. Niestety, proklamacja hasła tego tylko „rozpasła“ — słowa Fr. W. Forstera — wszystkie ciasne i bezgłowe egoizmy rozmaitych grupna-

²⁾ Pietro Gorgolini: „Il fascismo nella vita italiana“ (Torino, 1922).

rodowościowych"... które o tem wiedzieć nie chciały, że „wolność nakłada surowe obowiązki, przede wszystkim zaś obowiązek podporządkowywania osobistych pożądań wyższemu koniecznościom ze współżycia narodów wynikającym“.

Mówiono nam o raju, który nastąpić miał po złamaniu militarystyki niemieckiej; militarystyka złamana, a raju niema. Wręcz przeciwnie, zaostrzyły się i doszły do nieznanej dotychczas potęgi nienawiści i antagonizmy narodowe, nad wszystkimi zaś góruje antagonizm francusko-niemiecki, o usunięciu którego tak gorąco niegdyś marzył Ernest Renan, twierdząc, że dojszcie do skutku zgody Francji i Niemiec byłoby „wzajemnym odnalezieniem się obu połów duszy ludzkości... Wszyscy czujemy nową wojnę w powietrzu.

(C. d. n.)

Marjan Zdziechowski.

SPRAWA ŻYDOWSKA W OŚWIETLENIU APOSTOŁA MARXIZMU.

II.

Wpływy środowiska, zajęcia i religii.

A więc cechy psychiczne żydów zależą od środowiska miejskiego: handel pieniędzmi, lichwa, uprawianie zawodów lukratywnych (medycyna)—to naturalny wynik zamieszkiwania miast. Ale dlaczegóż w takim razie u ludności chrześcijańskiej, która zamieszkiwała miasta np. holenderskie lub Włoch północnych, nie wszyscy zajmowali się bankami, lichwą, pośrednictwem lub zawodami, wymagającymi abstrakcyjnego myślenia, badania i spekulacji? Widzimy tam rodzinny rzemieślnicze, członków cechów, zajmujących się z ojca i dziada pracą fizyczną. Wszak i oni, według teorii Kautskiego, powinni byli stać się, przynajmniej w następnych pokoleniach, spekulantami.

Kautsky apoteozuje skłonność żydów do pracy duchowej, ale zapomina (jak i inni apologety żydostwa), że jest to jednocześnie skłonność do pracy, dającej dobre żyski i dobre stanowisko. Takim zawodem była w średnich wiekach medycyna; to też widzimy wielu lekarzy żydów, cieszących się uznaniem i powodzeniem, lekarzy nadwornych królów, kszążeń, ba, nawet papieży; wielu żydów astrologów, alchemików. Gdzież te odkrycia naukowe dokonane przez adeptów abstrakcyjnego, matematycznego myślenia? W historii medycyny wielkich imion żydowskich do XIX wieku prawie nie spotykamy. Te same pobudki, które powodowały żydów do zajęcia się medycyną, astrologją, alchemją, prowadzą ich w wieku XIX i XX do zajęcia się polityką i publicystyką, do opanowania opinii publicznej przez prasę i parlamenty.

Pomimo wszystkich zapewnień Kautskiego niewątpliwą jest rzeczą, że 1) żydzi, uprawiający endogamię od paru tysięcy lat, więcej od innych narodów zachowali cech rasy pierwotnej (czystej, czy mniej czystej — to obojętne); 2) zamieszkiwanie w miastach i oddawanie się handlowi i lichwie z konieczności musiało spowodować wytworzenie się specjalnego typu i przekazywanie dziedziczne cechy nabytych; 3) wpływ religii niemieckiej i skostniałej od czasów Sofera, wpływ talmudu działał w tym samym kierunku — wyodrębnienia żydów i nadania im trwałych i odpornych cech psychicznych. Zadziwiającem jest, że Kautsky, mówiący tak obszerne o wszystkim, o zwierzętach domowych, o zwierzętach dzikich, cechach fizycznych rasy żydowskiej, asymilacji, antysemityzmie, sjonizmie, nie mówi o religii żydowskiej, tak jakby ta religia nie grała w ukształtowaniu się typu żydowskiego najmniejszej roli. Tymczasem religja ta wywierała i wywiera na psyche żydowską wpływ olbrzymi; w dodatku jest to unicum wśród religii świata. „Wyduje się

LEW TOŁSTOJ.

OJCIEC SERGJUSZ.

VII.

Ojciec Sergjusz powstał, podszedł do barjery, koło której oni się tłoczyli i począł błogosławić i odpowiadać na ich pytania głosem, nad słabością którego on sam się roztkliwiał. Lecz wbrew ochęciom, nie mógł ich wszystkich załatwić; znowu mu pociemniało w oczach, zachwiał się i chwycił za poręcz. Znowu poczuł napływ krwi do głowy i z początku zbladłszy, nagle pocerzwieniał.

— Tak, widocznie do jutra. Dziś nie mogę — powiedział i pobłogosławiwszy ogólnie wszystkich, poszedł do ławeczki. Kupiec znowu podtrzymał go i prowadząc pod rękę, posadził.

— Ojczel — dało się słyszeć w tłumie. — Ojczel! Nie opuszczaj nas. Zginęliśmy bez ciebie.

Kupiec, posadziwszy ojca Sergjusza pod więzem, przyjął na się obowiązek stróża porządku i bardzo stanowczo zaczął odpędzać natrętnych. Coprawda mówił on cicho, tak, że ojciec Sergjusz nie mógł go słyszeć, lecz mówił stanowczo i gniewnie:

— Wynoście się, wynoście! Pobłogosławił, więc czegoż jeszcze chcecie? Marsz! Bo naprawdę będę tłukł po karku. No! Ty, ciotko w czarnych

onuczkach, ruszaj, ruszaj. Dokąd leziesz? Powiedziano — basta. Co jutro Bóg da, a teraz wszyscy precz.

— Ojczel, daj jeszcze tylko jednym okiem spojrzeć na niego — mówiła staruszka.

— Ja ci spojrzę. Dokąd leziesz?

Ojciec Sergjusz zauważył, że kupiec coś zbyt ostro sobie poczynił i głosem słabym rzekł do braciszka, aby nie odpędzono ich. Ojciec Sergjusz wiedział, że ten mimo to ich odpędzi, i bardzo pragnął pozostać sam i odpocząć, lecz posłał braciszka powiedzieć, tylko w celu wywarcia wrażenia.

— Dobrze, dobrze. Ja nie pędzę a perswaduję — odrzekł kupiec. — Przecież oni gotowi zamęczyć człowieka. Litości wszak oni nie znają, tylko o sobie pamiętają. Nie można, powiedziano. Idź! Jutro.

I kupiec przepędził wszystkich.

Gośliwość kupca płynęła i z tego również powodu, że lubił on porządek i lubił lud prosty pędzać, pomiać nim, głównie jednak czynił to dlatego, że ojciec Sergjusz był mu potrzebny. Kupiec był wdowcem i miał jedną jedyną córkę, chorą, niezamężną, którą z odległości 1400 wiorst przywiózł do ojca Sergjusza, aby ojciec Sergjusz ją uzdrowił. Leczył on już tę córkę w ciągu

ona nam we wszystkich swoich zasadach dziełem rozumu, celowym wytworem myśli, rzuconym w świat organiczny, mechanicznie i sztucznie stworzonym w tym celu, by świat organiczny zniszczyć, opanować go i wprowadzić swoje działania na jego miejsce (Sombart *) "... „Racjonalizm, mówi tenże autor, jest cechą zasadniczą tak judaizmu, jak i kapitalizmu... Religja żydowska nie zna tajemnic i jest zapewne jedyną religją na kuli ziemskiej, która ich nie zna"... „Wspólną cechą religji żydowskiej i kapitalizmu jest układanie życia podług umowy; nazwałbym to regulowaniem wszystkich stosunków między Jehową i Izraelem na sposób kupiecki, gdyby z tem określeniem nie łączyło się znaczenie ujemne“ (l. c.).

W przeciągu wielu stuleci naród żydowski był obcym innym narodom, obcym w znaczeniu psychologiczno - socjalnym. Źródła tej obcości szukać trzeba w przepisach religijnych. *W istocie podstawowe prawa religji żydowskiej są równocześnie podstawowymi prawami państwa żydów.* Muszą one być wykonywane przez wszystkich tych, którzy się uznają za członków tego państwa (**). Sam fakt takiego prawa, powiada Sombart, wystarczał, aby wyłączyć jego zwolenników od wszelkiego stosunku z otoczeniem. O ile żydzi chcieli ściśle wypełniać swoje prawo, musieli żyć w odrębności od gojów, sami tworzyli „ghetto“, które z punktu widzenia nieżydowskiego było ustępstwem, przywilejem, a nie wynikiem nienawiści. Chcieli żyć osobno, gdyż uważali się za wyższych od otaczającego ich pospółstwa, za naród wybrany, naród kapłanów. Czy taka wyłączna religja, razem z wyłącznym pobytem w miastach, wyłącznem zajęciem handlowem lub lukra-

*) Żydzi i życie gospodarcze. Tłom. Polskie, Warszawa 1913.

***) Salomon Majmon. Autobiografia. 1913 str. 112.

tywnymi inteligentnymi zawodami, z małżeństwami tylko wewnątrz swego plemienia w ciągu 2.000 lat nie utworzyły z konieczności odrębnego typu fizycznego i psychicznego, odpornego na krzyżowanie się i przekazującego swoje cechy dziedziczne?

Zasadnicze cechy żydostwa obecnego są te same, co i u żydów starego testamentu. Wyłączność, obcość względem cudzoziemców, bezwzględność, okrucieństwo. *)

Nie mówiąc o religji żydowskiej, nie mówi też nic Kautsky o żydach i o ich roli w Rosji sowieckiej. Jest to zrozumiałe. Agresywność, dążenie do panowania, wyłączność i duch zemsty żydów nigdzie nie wystąpiły tak jasno, jak w Rosji sowieckiej. Dążenie do zajęcia stanowisk kierowniczych, wpływowych, opanowanie maszyny państwowej i prowadzenie jej na sposób kapitalistyczny, spekulacja — są to rzeczy zbyt dobrze znane. O dążeniach wywrotowych żydów Kautsky powiada, że ów negujący, rozsadający duch krytyczny, mający być rzekomo naturalną cechą rasy żydowskiej, jest tylko naturalnym i koniecznym wynikiem socjalnego i politycznego położenia żydów, które wykluczyło ich ze wszystkich korzyści ówczesnego ustroju społecznego. Jeśli duch ten jest cechą rasową, wówczas należy do cech rasowych każdej gnębionej i wyzyskiwanej klasy. W tym wypadku żydzi są już nie *gnębnym narodem, lecz uciskaną klasą.* Lecz w takim razie, po uzyskaniu zupełnego równouprawnienia, jak w Anglii, we Francji, na Węgrzech, żydzi powinni byli wyzbyć się tych cech, jak i innych, zależnych rzekomo od ucisku, uprawiać wszelkie zawody, zajmować się rolnictwem. Tymczasem widzimy zupełnie co innego. Żydzi dążą nie do równo uprawnienia, a do panowania; potrzebne

*) Autor wylicza tylko ujemne cechy charakteru żydowskiego, należałoby dodać i dodatnie: solidarność narodową, wytrwałość, wstrzemięźliwość. *Przyp, Red.*

dwóch lat jej choroby w różny miejscach. Z początku w gubernjalnem uniwersyteckiem mieście w klinice — nie pomogło i potem woził ją do chłopca w Samarskiej gubernji — trochę ulżyło; następnie woził do moskiewskiego doktora, zapłacił dużo pieniędzy — nie nie pomógł. Teraz powiedziano mu, że ojciec Sergjusz uzdrawia i oto przywiózł ją. Więc gdy tylko kupiec rozpedził tłum, podszedł do ojca Sergjusza i bez wszelkich wstępów ukląkłszy, głośno powiedział:

— Święty ojczel pobłogosław córę moją cierpiącą i uzdrów od bólu i choroby. Ośmielam się przypaść do świętych stóp twoich.

I złożył ręce jak do przyjęcia jałmużny. Wszystko to on zrobił i powiedział w ten sposób, jak gdyby to było z góry ustalone przez prawo i obyczaj, jak gdyby właśnie tak a nie inaczej należało prosić o uzdrowienie córki. Zrobił to z takim przekonaniem, że nawet i ojcu Sergjuszowi wydało się, że wszystko to właśnie tak należy mówić i czynić. Lecz ojciec Sergjusz kazał mu powstać i opowiedzieć całą sprawę. Kupiec powiedział, że córka jego, panna dwudziestodwuletnia, zachorowała dwa lata temu wkrótce po nagłym zgonie matki, przeraziła się, jak mówił, i od tego czasu zaniemogła. I oto przywiózł ją z odległości 1400 wiorst, i ona czeka w za-

jeździe, zanim ojciec Sergjusz nie rozkaże ją przywodzić. W dzień ona nie wychodzi, gdyż bo się światła, zaś może tylko wychodzić po zachodzie słońca.

— Cóż, ona bardzo słaba? — zapytał ojciec Sergjusz.

— Nie, słabością się wielką nie odznacza, jest dobrze zbudowana, a tylko neurasteniczka, jak powiedział doktor. Gdyby ją ojciec Sergjusz kazał zaraz przyprowadzić, jabym jednym totem skoczył. Ojczu duchowny! uraduj serce ojcowskie, i modlitwami swemi zbaw chorą córę jego.

I kupiec znowu zamasyście padł na kolana i pochyliwszy bokiem głowę nad dwiema rękami złożonemi jak do jałmużny — zastygł w tej pozycji. Ojciec Sergjusz znowu kazał mu powstać i pomyślawszy o tem, jak ciężką jest jego działalność i jak nie bacząc na to, on z całą pokorą ją wypełnia, westchnął ciężko i pomilczawszy parę sekund, powiedział:

— Dobrze, przyprowadź ją wieczorem. Pomodlę się za nią, ale teraz jestem zmęczony. — I przymknął oczy. — Przyślę po ciebie.

Kupiec, stając na palcach po piasku, dzięki czemu jego buty jeszcze bardziej skrzypiały, odszedł, a ojciec Sergjusz pozostał sam.

Całe życie ojca Sergjusza wypełnione było

im są nie równe prawa, a przywileje. W Rosji współczesnej zamiast stać się lojalnymi obywatelami państwa i razem z innymi klasami ludności, z innymi stronnictwami dążyć do podniesienia państwa, pracować nad jego odbudową, żydzi korzystali ze sposobności, aby opanować władzę, zając wszędzie stanowiska kierownicze, zniszczyć — na sposób biblijny inne stronnictwa, a przy sposobności i wszystkich swoich rzeczywistych i domniemyanych wrogów i konkurentów, oraz kulturę narodową, religię — wszystko, co było im obce. To samo było i na Węgrzech, gdzie przed wojną nie było żadnego antysemityzmu.

Gdyby cechy żydostwa zależały wyłącznie od życia w rozproszeniu, na emigracji, od pobytu w miastach i od stanowiska narodu gnębionego i wyzyskiwanego, to cechy właściwe żydom musielibyśmy znajdować i u narodów, pozbawionych niepodległości, przynajmniej u tej ich części, która żyła w rozproszeniu, w kolonjach, pozbawiona ojczyzny: u polaków, u irlandczyków w Ameryce, u włochów kolonistów przed uzyskaniem niepodległości. A jednak i polacy na wygnaniu, i włosi i irlandczycy, pomimo kilku pokoleń, spędzonych na obczyźnie, w warunkach nader ciężkich, jednak trochę się różnią od — żydów.

(D. n.)

Dr. Berceus Parago.

ŚLĄSK GÓRNY w r. 1923.

III.

Sprawy społeczne.

Śląsk Górny licząc przeszło milion ludności, w wielkim i drobnym przemyśle zatrudnia 250 do 260 tysięcy robotników, skupionych na niewielkiej przestrzeni 3225 km². Ta okoliczność najlepiej charakteryzuje strukturę społeczną kraju. Mieszkają w nim obok garstki magnatów przemysłowych, wyłącznie prawie, jak dotąd Niemców tylko,

nabożeństwami i odwiedzającymi, ale dzień dzisiejszy był wyjątkowo ciężki. Zrana był przyjezdny wysoki dygnitarz, który długo z nim konferował; potem była pewna pani z synem. Syn ten, był to młody profesor, niewierzący, którego matka, głęboko wierząca i oddana ojcu Sergjuszowi, przywiozła tutaj i uprosiła ojca Sergjusza, aby z nim pomówił. Rozmowa była bardzo ciężka. Młody człowiek nie chciał widocznie rozpoczynać dyskusji z mnichem, zgadzał się z nim we wszystkim, jako z człowiekiem słabym, lecz ojciec Sergjusz widział, że młody człowiek nie wierzy, i że nie bacząc na to jest mu dobrze, lekko i spokojnie na duszy. Ojciec Sergjusz z uczuciem niezadowolenia przypominał sobie teraz tę rozmowę.

— Zje coś ojciec — powiedział braciszek.

— Tak, przynieś cokolwiek.

Braciszek poszedł do celi, pobudowanej o dzie sięć kroków od wejścia do groty, a ojciec Sergjusz pozostał sam.

Dawno już minęły te czasy, kiedy ojciec Sergjusz mieszkał sam i sam czynił wszystkie posługi dla siebie, żywiąc się tylko prosiwą i chlebem. Już dawno dowiedziono mu, że nie ma prawa lekceważyć swego zdrowia i karmiono go postną ale zdrową strawą. Jadł mało, lecz o wiele

robotnicy, w 90% Polacy, posiadający często drobny kawałek ziemi, który w wolnych chwilach od pracy w kopalni lub hucie obrabiają oni lub ich rodziny. Bardzo trafną charakterystykę tego robotnika podajemy za gruntownym znawcą stosunków górnośląskich, niemieckim asesorem górniczym doktorem Kurtem Seidl'em. Píše on w wielkiej monografii przemysłu górnośląskiego „Handbuch der oberschlesischen Industriebezirks“ następujące słowa o robotniku polskim:

„Rodowity Górnoślązak jest robotnikiem pilnym, chętnym i wytrwałym. Jest zręczny, łatwo się przystosowuje do nowych zadań i potrafi dać sobie radę w sytuacji trudnej. Zalety te ujawniają się zwłaszcza przy wydobywaniu węgla kamiennego. Wydobywanie węgla i odbudowa wymagają szczególnej zręczności wobec wielkiej miąższości pokładów. Górnik górnośląski od pokoleń przywykł do tej stosunkowo trudnej i wyczerpującej pracy i przy wydobywaniu węgla na potężnych filarach okazał się lepszym od wszelkich obcych robotników, których okazyjnie próbowano zatrudnić“.

Do charakterystyki tej można dołączyć wielkie zalety narodowe polskiej ludności robotniczej, które się przejawiały w czasie akcji plebiscytowej i które obserwujemy i teraz, gdy patriotyzm polski robotników górnośląskich skutecznie opiera się antypaństwowej i antynarodowej agitacji Niemców i nielicznych komunistów. Agitacja ta główną swą uwagę zwróciła na opanowanie robotniczych rad załogowych (Betriebsräte), które na Górnym Śląsku istnieją na mocy prawa niemieckiego z dnia 23 grudnia 1918 r.

Do rad załogowych na mocy tego prawa mogą wybierać swych przedstawicieli wszyscy robotnicy bez różnicy płci i bez różnicy narodowości, a nawet obcy poddani którzy ukończyli 18 lat życia. Prawo wyborcze bierne posiadający tylko niemieccy obywatele, czyli na Śląsku naszym polscy obywatele, którzy ukończyli lat 24 i pracują w danym zawodzie lat 3,

więcej, niż przedtem, i często jadł z wyjątkowym smakiem, nie tak jak dawniej, ze wstrętem i świadomością grzechu. Tak też było i dzisiaj. Zjadł kaszkę, wypił filiżankę herbaty i spożył pół bochenka białego chleba.

Braciszek odszedł, a on pozostał sam na ławeczce pod więzmem.

Był piękny majowy wieczór. Listowie niedawno rozwinęło się na brzozech, osikach, wiązach, czeremchach i dębach. Krzewy czeremchowe za więzmem stały w pełnym kwieciu i jeszcze się nie osypały; słowiki — jeden bardzo blisko a inne dwa lub trzy w dole, w krzewach, nad rzeką śpiewały z upojeniem. Od rzeki dochodziły dalekie śpiewy powracających pewno z roboty robotników; słońce zaszło za las i przesiewało się rozproszonymi promieniami przez zieleń. Cała ta strona była jasno-zielona; druga, za więzmem — ciemna. Chrabąszcze unosiły się w powietrzu, ude rzały się i spadały.

Po kolacji ojciec Sergjusz począł układać w umyśle modlitwę: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad nami“, a następnie odczytywał psalm i nagle w środku psalmu, niewiadomo skąd, z krzewów na ziemię zleciał wróbel i świergocąc, podskakując, podfrunął do niego, przeląkł się czegoś i odleciał. Ojciec Sergjusz

a w danym zakładzie przemysłowym pół roku. Rady posiadają tylko zakłady, liczące powyżej 20 robotników. Zakłady mniejsze, zatrudniające od 5 do 20 robotników, wybierają jednego przedstawiciela, który ma pełnomocnictwa przysługujące radom. Prawo niemieckie określa zadania rad, jako z jednej strony ich obowiązek czuwania nad obroną gospodarczych i moralnych interesów robotników, a z drugiej strony obowiązek współdziałania z pracodawcami w ich trosce o rozwój przedsiębiorstwa i jego dochód.

Do pierwszej grupy obowiązków należy w szczególności prawo stosowania przepisów o ochronie pracy, zawierania umów zbiorowych, opracowywania wspólnie z pracodawcami regulaminów fabrycznych, ich stosowania, współdziałanie przy przyjmowaniu i wydalaniu robotników i cały szereg innych daleko idących uprawnień w dziedzinie stosunków fabrycznych, które rady wykonywują w porozumieniu z zawodowymi związkami robotniczymi.

Do drugiej grupy uprawnień rad należy prawo desygnowania ich przedstawicieli do rad nadzorczych przedsiębiorstw, kontroli bilansów, a nawet pewien współdziałanie w administracji i technicznym kierownictwie zakładów przemysłowych.

Ta druga grupa uprawnień rad jest dość nieokreślona, ale właśnie dlatego może być niebezpieczną dla rozwoju tych przedsiębiorstw, w których bądź to same rady, bądź to zarządy nie umieją lub nie chcą z sobą współpracować. Nie wszędzie jeszcze niestety ogół robotników i ich przedstawiciele stoją na tak wysokim stopniu kultury, aby umieli ocenić rolę, jaką i nauka i technika, oraz rzutkość i zdolności kierowników zakładów przemysłowych odgrywają w życiu tych zakładów.

Szybka i trafna decyzja naczelnego dyrektora w trudnej sytuacji gospodarczej może być zupełnie sparaliżowana tam, gdzie obok tego dyrektora ustawicznie wtrąca się w szczegóły wielogłowe ciało, złożone choćby z ludzi nauki i pra-

tkyki, lecz nie zorientowanych w danej koniunkturze przemysłowej. A cóż dopiero mówić o sytuacji, gdzie na decyzję wpływają robotnicy, choćby doskonalni fachowcy w danym rzemiośle, lecz którzy wobec nadzwyczajnego zróżniczkowania przemysłu nigdy nie obejmą całości i którzy właśnie dlatego będą doszukiwać się drobnych usterek tam, gdzie szkoda na to prosto czasu, gdzie tylko szybka, częstokroć piorunująca decyzja odpowiedzialnego dyrektora może uchronić zakład od strat, a często nawet od zupełnego upadku. Dyrektor naczelnny w fabryce w zakresie technicznym i handlowym odgrywa rolę bardzo podobną do roli naczelnego wodza na wojnie i jak na wojnie brak zdecydowania jest częstokroć gorszy, niż decyzja choćby w szczegółach wadliwa, lecz obejmująca całość operacji, tak zgubną jest powolność i chwiejność w ogólnym prowadzeniu przedsiębiorstw technicznych.

Zatrzymaliśmy się na tym przedmiocie dłużej, bo sprawa rad załogowych i zakresu ich kompetencji może w niedalekiej przyszłości poważnie wpłynąć na rozwój a nawet byt naszego przemysłu nie tylko na Śląsku, lecz i w całym państwie. Wszak obecne rosyjskie sowiety za kolebkę swą miały rady fabryczne, a niski poziom kulturalny robotników rosyjskich zaprzęgał te rady w służbę międzynarodowej mafji bolszewickiej. Należy pamiętać, że pomimo autonomji Górnego Śląska życie jego gospodarze płynie już wspólnym korytem z życiem całego Państwa i to wszystko, co jest w tem życiu dobrego i złego, będzie przenikało we wszystkie pory organizmu społeczno-gospodarczego całego Państwa, jak z drugiej strony pomimo całego swego separatyzmu Śląsk Górny wchłania coraz intensywniej wszystkie dodatnie i ujemne strony naszej — a dodam tu nawiasem i mniejszości narodowych — psychologii narodowej. Wysiłek Państwa i społeczeństwa powinien starać się o dyfuzję cech tylko dodatnich, bo niestety i ujemnych stron nie brak. W zagadnieniu tem szczególnie niebezpiecznym byłoby trzy-

odmawiał modlitwę, w której była mowa o wyrzuczeniu się świata i spieszył się, by jaknajprędzej ją skończyć i postać po kupca z chorą córką; ona zaciekawiała go. Ona zaciekawiała go dlatego, że była dlań rozrywką, nowa twarz — dlatego, że i ojciec jej i ona uważali go za pomazańca, — za takiego, którego modlitwa bywa wysłuchana. On zapierał się tego, lecz w głębi duszy sam się miał za takiego.

Ojciec Sergjusz często się dziwił, jak się to stało, że jemu, Stefanowi Kasatskiemu, wypadło być takim niezwykłym pomazańcem i wprost cudotwórcą, lecz co do tego, że był nim istotnie, nie było żadnych wątpliwości — nie mógł nie wierzyć tym cudom, które sam stwierdził, poczynając od chorego chłopca aż do ostatniej staruszki, która odzyskała wzrok dzięki jego modlitwie.

Jakby to nie było dziwnem — było to jednak tak. Tak, córka kupca wzbudzała w nim ciekawość dlatego, że była ona nową twarzą, że wierzyła weń, i dlatego jeszcze, że czekała go znowu dzięki niej sposobność stwierdzenia swej mocy uzdrawiania i swojej sławy. „Z za tysiąca wiorst przyjeżdżają, w gazetach piszą, cesarz wie, w Europie, w niewierzącej Europie wiedzą“, myślał. I nagle zawstydził się swej zarozumiałości i zaczął się znowu modlić do Boga: „Panie,

Królu Niebieski, Pocieszycielu dusz naszych, przyjdź i zamieszka w nas, i oczyść nas od wszelkiego zła i zbaw Boże dusze nasze. — Uwolnij od požądania sławy ludzkiej, która owładnęła mną“, powtórzył i przypomniał sobie, jak wiele razy modlił się o to i jak próżne były dotychczas jego modły w tym kierunku. Modlitwa jego czyniła cuda dla innych, ale dla samego siebie on nie mógł wymodlić u Boga wyzwolenia od tej pozornej namiętności.

Przypomniał sobie swe modlitwy z pierwszych dni swego życia w pustelni, gdy modlił się o zesłanie mu czystości, i o tem, jak mu zdawało się wówczas, że Bóg wysłuchał jego modlitwy, o tem wreszcie, że był czysty i odrąbał sobie palec. I ojciec Sergjusz podniósł zmarszczony rąbkami, ucięty do połowy palec i pocałował go. Zdawało się mu, że był pokornym wówczas, gdy odczuwał wciąż wstręt do siebie za swe grzechy, i zdawało się mu, że wówczas posiadał on również uczucie miłości, kiedy przypomniał sobie, z jakim roztkliwieniem przyjmował wówczas starego żołnierza, który zaszedł do niego pijany i wymagał pieniędzy. A teraz?... I on zapytywał siebie, azali kocha kogo, azali kocha Zofję Iwanównę, ojca Serafina, azali doświadczał uczucia miłości ku tym wszystkim, co go dzisiaj odwiedzali, ku

manie się polskiej maksymy: „jakoś to będzie”. Struktura nasza gospodarcza i społeczna, nasza psychologia narodowa — szczególnie Polaków z b. zaboru rosyjskiego — bardzo się różnią od uemieckiej. I dlatego ślepe naśladownictwo wzorów niemieckich może być szkodliwe zwłaszcza w początkowej fazie budownictwa naszego ustawodawstwa społecznego. W rozwiązaniu problemu rad załogowych należałoby iść za wzorem państw zachodnich, więcej zbliżonych pod względem kulturalnym i gospodarczym do Niemiec, a jednak bardzo oględnie i po długim dopiero badaniu przejmujących od nich reformy społeczne dostosowane zresztą z reguły do miejscowych warunków. Norweski rząd naprzykład już w r. 1918 wyznaczył specjalną komisję do zbadania problemu rad załogowych. Komisja ta po dłuższej pracy przygotowawczej w Norwegji wysłała do Niemiec w jesieni r. 1921 swego przewodniczącego radcę Sądu Najwyższego p. Dahla, który pojechał tam wraz z jednym przedstawicielem od pracodawców i jednym od robotników i w czasie kilkutygodniowego pobytu zwiedził wszystkie ważniejsze ośrodki przemysłu niemieckiego, informując się wszędzie o działalności rad i niemieckich związków zawodowych zarówno od przedstawicieli rad, jak i od przedstawicieli Rządu i związków robotników i przemysłowców.

Wyniki tej ankiety zreferował p. Dahl wymienionej norweskiej komisji. Streszczają się one w kilku spostrzeżeniach, z których najważniejsze są następujące:

1. Płonne były obawy niektórych związkowych działaczy robotniczych, że nastąpi konkurencja i tarcia między związkami zawodowymi i radami, ponieważ w większości zakładów przemysłowych, gdzie robotnicy byli silnie w związkach zorganizowani, związki przeprowadziły do rad swych przedstawicieli.

2. Rady niewątpliwie wiele w Niemczech zdziałały dla interesów robotniczych, stojąc czujnie na straży ich praw.

Wątpliwym jest natomiast zdaniem p. Dahla oczekiwany dodatni wpływ rad na podniesienie wydajności pracy i na związane z tem zwiększenie produkcji.

Rady wprawdzie przyczyniły się w pewnym stopniu i pośrednio do spokoju społecznego przez szybkie i indywidualne załatwianie zatargów, zmniejszając tem samem ilość i długość strejków, a nawet często wpływały na robotników w kierunku ich zgody na godziny pracy nadliczbowe, lecz z drugiej strony zbyt one czuwały nad subiektywnie pojętym interesem klasy robotniczej, aby mogły ogarnąć swym wpływem szersze interesy produkcji. Pan Dahl stwierdził ujemny wpływ rad na produkcję przez konieczność udzielania im przez przemysłowców ciągłych wyjaśnień piśmiennych, co pociąga za sobą prócz kosztów jeszcze i stratę tak drogiego dla produkcji czasu organizatorów przemysłu, jakimi są dyrektorzy i inżynierowie. Zaradzić by temu, zdaniem p. Dahla, mogła rekonstrukcja rad w kierunku dopuszczenia do nich przedstawicieli przemysłowców, którzyby udzielali radom wyjaśnień ustnych. Dalej wypowiada się p. Dahl za współdziałaniem rad przy wydalaniu robotników, aczkolwiek jest przeciwny ich mieszaniu się w sprawy przyjmowania nowych robotników, co wobec rozbieżności niemieckiego ruchu zawodowego byłoby szkodliwe dla żywotnych interesów przemysłu. Za szkodliwe też uważa on mieszanie się rad do technicznego i handlowego kierownictwa zakładów przemysłowych. Przyznaje o nim jednak pewne zasługi, jako instytucjom, które przy dalszym rozwoju i usunięciu z nich szkodliwych pierwiastków zrealizują artykuł 165 konstytucji niemieckiej. Artykuł ten mówi wyraźnie o zupełnem równouprawnieniu kapitału i pracy, jako dwóch równorzędnych czynników produkcji. Ale pojęcie równorzędności może być interpretowane bardzo szeroko i zupełnie odmiennie i byliśmy świadkami w Rosji, że pojęcie to przy niedorozwoju kulturalnym szerokich mas ludowych doprowadziło

temu uczonemu młodzieńcowi, z którym on tak pouczająco konferował, troszcząc się jedynie o to, aby pokazać mu swój rozum i brak zacofania w nauce. Ich miłość sprawiała mu przyjemność i była mu potrzebna, lecz on sam ku nim miłości nie odczuwał. Nie było w nim dziś miłości, nie było pokory, nie było też czystości.

Wiadomość, że córka kupca miała lat dwadzieścia dwa, sprawiała mu przyjemność i chciał jeszcze dowiedzieć się, czy jest ładną. A gdy zapytywał o szczegóły dotyczące jej niedomagania, chciał właśnie wybać, jak dużo posiada kobiecości.

„Czyżbym aż tak upadł? — pomyślał. Dpomóż mi Panie, Boże mój!” I złożywszy ręce począł się modlić. Słowiki śpiewały; chrabaszcz spadł nań i zaczął pełznąć po szyi. Zrzucił go. „Więc czy jest On? A co, jeżeli stukam do zamkniętego nazewnątrz domu?.. Klódka na drzwiach i mógłbym ją ujrzeć. Klódka ta — to słowiki, chrabaszcz, przyroda. Może ma rację młodzieniec”. I począł na głos się modlić i modlił się długo, zanim się myśli te nie rozwiały i zanim znowu nie powróciły spokój i pewność. Zadzwoił w dzwoneczek i braciszkwowi, który się zjawił, powiedział, by kupiec ten z córką przyszedł teraz.

Kupiec przywiódł pod rękę córkę, wprowadził do celi i niezwłocznie wyszedł.

Córka była blondynką, o nadzwyczaj białej cerze, bladą, tęgą, nader łagodną dziewczyną o przestraszonej dziecinnej twarzy i o bardzo rozwiniętych kobiecych kształtach. Ojciec Sergiusz pozostał na ławeczce przy wejściu. W chwili, gdy dziewczyna przechodziła obok i zatrzymała się, by ją pobłogosławił, sam się przeraził swego spojrzenia, jakim ogarnął jej ciało. Przeszła, a on poczuł, że jest zraniony. Z twarzy jej wyczytał, że jest zmysłową i niedorozwiniętą umysłowo. Powstał i wszedł do celi. Siedziała na zydelku, czekając na niego.

Gdy wszedł — powstała.

— Ja chcę do tatusia — powiedziała.

— Nie bój się — rzekł. — Co cię boli?

— Wszystko mnie boli — powiedziała i nagle twarz jej zajaśniała uśmiechem.

— Będiesz zdrową — powiedział — módl się.

— Co tu się modlić, modliłam się, nic nie pomaga. — I wciąż się uśmiechała. — Niech ojciec się pomodli i ręką dotknie. Widziałam ojca we śnie.

— Jak widziałas?

— Widziałam, że ojciec tak oto rękę położył mi na piersi. — Wzięła jego rękę i przyłożyła ją do piersi. — O tu.

Oddał jej swoją prawą rękę.

do swistopliaski (wyrażenie prof. Beaudouin de Courtenay) zerwanych z łańcucha niewolników, gdy w Niemczech według świadectwa p. Dahla wniosło do stosunków między pracą i kapitałem pewne nowe wartości moralne i społeczne, a w przyszłości być może i gospodarcze.

Należałoby skorzystać z ujemnej praktyki rosyjskiej i dodatniej w pewnym stopniu niemieckiej, aby dalszy rozwój rad górnośląskich poszedł w kierunku dla państwa korzystnym, bo jak mówiliśmy wyżej, zachodzi niebezpieczeństwo, że komuniści i Niemcy chcą wyzyskać górnośląskie rady załogowe, jako taran do rozbijania Państwa Polskiego od wewnątrz, a zadanie im ułatwić może ciężkie istotnie w całym Państwie położenie robotników. Położenie to szczególnie jest trudne na Śląsku Górnym, gdzie wobec katastrofalnego spadku marki niemieckiej drożyzna rozszalała się poprostu, nędra robotników zastraszające zrobiła postępy. Drożyzna ta była głównym tematem obrad Kongresu Rad Załogowych, który się odbył w dniu 23 stycznia r. b. Obrady były bardzo burzliwe i nie brak było głosów komunistów, którzy starali się wmówić w uczestników Kongresu, że tylko przewrót społeczny i rzekoma dyktatura proletariatu (czytaj dyktatura nad proletariatem międzynarodowych awanturników) może uzdrowić stosunki. Na szczęście, głos tych najemników rządu moskiewskiego niewiele znalazł posłuchu. Nie trzeba jednak tych objawów lekceważyć, bo nawet ci robotnicy, którzy ofiarnie walczyli za Ojczyznę w trzech powstaniach górnośląskich i którzy na samym Kongresie Rad domagali się intensywniejszego odniemczenia Górnego Śląska, nawet ci dali wyraz swojemu rozgoryczeniu z powodu stale pogarszającej się sytuacji materialnej robotników. Domagano się też rozszerzenia zakresu kompetencji rad załogowych i należy podkreślić, że jeszcze przedtem Sejm Wojewódzki żądał rozszerzenia terenu ich na Śląsk Cieszyński.

Z innych spraw społecznych na szczególną uwagę zasługuje sprawa wymiany robotników pomiędzy zakładami przemysłowymi polskiej i niemieckiej części Górnego Śląska. Chodzi o to, że w Województwie Śląskim pracuje około 20 tysięcy robotników, zamieszkałych w obecnej Regencji Opolskiej i „vice versa“ w Regencji tej pracuje około 10.000 robotników, mieszkających w Polsce. Zarówno jedni, jak drudzy są to w większości ogromnej Polacy, lecz są pośród nich i Niemcy, oraz komuniści, którzy, mieszkając na terytorjum Niemieckim, wymykają się z pod stałej kontroli polskich władz administracyjnych i mają tem ułatwione zadanie szerzenia zamętu w Polsce. Zamieszkiwanie robotników w niemieckiej części pociąga też za sobą bardzo ujemne konsekwencje gospodarcze, albowiem graniczne formalności celne, paszportowe, oraz spóźnianie się pociągów powoduje ciągle spóźniania się robotników do pracy, za które administracja przemysłowa ściąga z nich kary i przez to szerzy rozgoryczenie, boć spóźniania te nie z winy robotników wynikają. Poza tem materialne warunki życia na skutek wahań kursu marki polskiej i niemieckiej ustawicznie się zmieniają na korzyść tej to tamtej strony kordonu. Na skutek tego strona uprzywilejowana — w ostatnich czasach byli nią robotnicy zatrudnieni w Polsce, a zamieszkali w Regencji — wzbudza zazdrość strony drugiej, co znowuż znakomicie przyczynia się do wrzenia i społecznego zamętu.

Wymiana więc robotników jest ze wszech miar wskazana i pilna, choć będzie ona trudną do przeprowadzenia nie tylko ze względów prawno-politycznych, lecz i mieszkaniowych.

Na Górnym Śląsku bowiem, jak wszędzie zresztą, daje się odczuwać straszliwy brak mieszkań. Dla zaradzenia temu robotnicy domagają się dodatkowego podatku od węgla (2%) na budowę nowych kolonji robotniczych. Myśl jest w zasadzie warta zastanowienia się; w podobny sposób w zagłębiu rzeki Ruhr, gdzie wobec olbrzymiego

— Jak się nazywasz? — zapytał, drżąc na całym ciele i czując, że jest pokonanym, i że nie panuje nad swem pożądaniem.

— Marja. A co?

Wzięła rękę i pocałowała ją, a następnie jedną ręką objęła go w pasie i przytuliła do siebie.

— Co ty? — rzekł. — Marjo, tyś — chyba djablem.

— No a jeżeli — to nie.

I, obejmując go, usiadła z nim na łóżku.

Gdy zaczęło świtać, wyszedł na podwórcz.

„Czyżby to wszystko było? Ojciec przyjdzie — ona opowie. Ona jest djablem. Więc co ja zrobię? Oto ta siekiera, którą odrabiałem palec“. Chwycił siekiere i poszedł do celi.

Spostrzegł go braciszek.

— DREW ojciec każe narąbać? Proszę dać siekiere.

Oddał siekiere. Wszedł do celi. Ona leżała śpiąc. Z przerażeniem spojrzął na nią. Przeszedł za przepierzenie, zdjął chłopski strój, włożył go, wziął nożyczki, uciął włosy i poszedł po ścieżce w górę ku rzece, gdzie nie był już cztery lata.

Wzdłuż rzeki prowadziła droga; poszedł po drodze tej i szedł tak do obiadu. W godzinie obiadowej wszedł w zboże i położył się w niem. Nad wieczorem dotarł do wsi nad rzeką. Nie wszedł jednak do wsi, lecz skierował się ku rzece, nad urwisko.

Pora była wczesna, jakie pół godziny przed wschodem słońca. Wszystko było szare i mroczne, z zachodniej strony wiał zimny wiatr. „Tak, trzeba to skończyć. Boga niema. Lecz jak skończyć? Rzucić się do rzeki? Umiem pływać — nie utonę. Powiesić się? Tak, oto pasek na sęku“. Wydało się to tak możliwym i bliskim — że się przeraził, i chciał jak zwykle w chwilach rozpaczcy pomodlić się. Lecz modlić się nie było do kogo, — Boga nie było. Leżał z głową opartą na rękę, i nagle poczuł taką potrzebę snu, że nie mógł utrzymać dłużej głowy, usunął rękę i natychmiast zasnął. Lecz sen ten trwał tylko sekundę, momentalnie budzi się i poczyna ni to śnić ni to wspominać.

(C. d. n.)

Przełożył Xawery Glinka.

wzrostu liczby robotników również był katastrofalny brak mieszakań, zainicjowano w r. 1920 budowę nowych kolonji robotniczych i obecnie brak mieszkań jest tam już znacznie mniej dotkliwy.

Inż. Aleksander Ringman

MY, POSTĘPOWCY.

Mówię o wczorajszych postępowcach. Nie mogę mówić o innych, gdyż dzisiejszych niema wcale. Jedni stali się radykałami, a że i ten wyraz nie brzmi dość demokratycznie, są przeto ludowcami, socjalistami lub — co najmniej — demokratami „państwowymi“, bo — jak się poniżej przekonamy, wyraz państwowy bywa nie bez racji używany jako synonim wyrazu lewicowy. Inni znów poszli na prawo; odstąpili od sztandaru i prawowierna lewica nie chce z nimi mieć nic wspólnego. Są to malkontenci; czują się dość obco na prawicy, z którą ich żadne nie łączą węzły, gorzej jeszcze na lewicy, której dzisiejsze oblicze ich odstręcza. Łatwo byłoby wymienić szereg znanych nazwisk tych skonserwatywniałych postępowców, których odstępstwo gorszy lewicę, a na prawicy budzi więcej zdziwienia, niż zachwyty. Są dla niej niepotrzebni ci spóźnieni goście, przemawiający bądź co bądź całkiem odmiennym niż ona językiem, obcy w tej ścisłej rodzinie, związanej od szeregu lat solidarności doli i niedoli, ambicji, pożądań i nadziei. Mam zamiar mówić o tej właśnie kategorii, gdyż pierwsi całkowicie przystosowali się do tła, wśród którego przebywają i z niem razem od tej chwili przechodzą tylko ewolucją zbiorową; ich indywidualny rozwój wszedł w ramy partji i w nich się zamyka.

Może wyda się zbyt cieżkim roztrząsanie zjawiska, które można zaliczyć i do pospolitych, dawno znanych, niemal organicznych objawów. Radykał, gdy się zestarzeje, staje się reakcjonistą, — takim jest z dawna ugruntowane i na ogół trafne przekonanie. Jednakże tylko na ogół; wyjątki od reguły obejmowały nieraz całe okresy, całe pokolenia. Bywały momenty w rozwoju narodu, gdy nie młodzi starych lecz starzy młodych oskarżali o zacofanie. Tak było nazajutrz po Wieku Oświecenia, po wykipieniu fali rewolucyjnej, na przełomie 18-go i 19-go stulecia, w okresie restauracji, o świecie romantyzmu. Uosobieniem starych radykałów był Sniadecki; młodych obskurantów Mickiewicz, Zan i jego towarzysze. — Wtedy chodziło o przeciwstawienie „prawd martwych“, widocznych dla „oko i szkiełka mędrców“, „prawdom żywym“, które tylko serce w sercach odczytać umie.

Dziś chodzi niezawodnie o inne rzeczy, ale i dzisiaj reakcjonistami są nietylko ci, co się zestarzel. Znowuż dziś młodzież idzie na prawo, ku wielkiemu zgorszeniu tych, co w siwych głowach konserwowali nienaruszone hasła własnej młodości i sądzą, że ani oni, ani ich prawdy nigdy zwiednać nie mogą. — Stają się oni anachronizmem, nie wiedząc o tem. I to nie jest czemś niebywałem. Zdarzało się nieraz, że starsze pokolenie nie rozumiało swoich dzieci, ale rozumiało wnuków i — co więcej — było przez nich zrozumiane.

To obecne odwracanie się nowych pokoleń na prawo nie jest bynajmniej wyłącznie osobliwością polskiego życia; przeciwnie, u nas stosun-

kowo słabo zwrot ten się zaznacza w porównaniu z takimi naprzykład Włochami. — Fakt sam jednak godny jest zastanowienia i zaleca się głębsze rozstrząsanie jego przyczyn tym zwłaszcza, których ambicją jest być zawsze w zgodzie z duchem czasu, lub których powinnością jest z duchem czasu się liczyć. Do tych ostatnich należą kierownicy młodzieży i kierownicy narodu, dzierżący ster jego spraw w swem ręku. Nie zawsze zaleca się płynąć z prądem, ale zawsze trzeba znać kierunek i siłę prądu, jeśli się ma dopłynąć do jakiegoś brzegu, a nie na dno.

Młodzież ma niewątpliwie swoje własne uczuciowe czy rozumowe racje, którymi się kieruje w wyborze swej drogi. Inne motywy działają u tych, co w długiej wędrówce poznali wszystkie przejścia, skrzyżowania i zakręty traktu, który przebyli, a doszedłszy do pewnego punktu, powiadają sobie: „dosyć już; ani kroku dalej; nie tędy dojdę do celu“.

Może to właśnie dowodzi żywotności, nie słabnącej zdolności ciągłego przyswajania i odkrywania nowych prawd, dokonywania nowych przeobrażeń? Może to nie skostniałość starca — lecz dobrze zakonserwowana czerstwość ducha?

Bezładne ciało toczy się w kierunku, w którym je pchnął pierwotny rozpęd, a gdy wyczerpie się siła rzutu, zatrzymuje się tam, gdzie padł. Starość — to bezwład i wszystkie nieodłączne od niego zjawiska.

Zanim zejdziemy na grunt konkretnych faktów, pozwólmy sobie jeszcze na jedno porównanie.

Droga postępu ludzkiego, to nie jakaś bita szosa opatrzona kamieniami wiorstowemi, wedle których można każdej chwili zmierzyć i odległość przebyta i tę, która pozostała między wędrowcem a jego celem. Człowiek sam musi szukać i torować sobie ścieżki, któremi idzie naprzód, przedzierając się niemi przez gęstwiny i knieje, wydeptywać w stepach, przebijając je w szczelinach skalnych. Są one często bardzo pogmatwane, mylne, wątpliwe, Czasem, aby dojść do celu, który widzimy jasno, jak na dłoni, trzeba krażyć i zbaczać.

Gdy ci, co zrazu razem szli, rozchodzą się, to może być nieraz sporna kwestja, kto z nich zmienił pierwotny kierunek?

Droga postępu — to droga wzwyż, ku czemuś, co góruje ponad punktem wyjścia. Droga na lewo może przed 10-ciu laty prowadziła w górę, ale już nie dzisiaj. Idąc ciągle na lewo, możesz krażyć wokółko; można także stoczyć się w przepaść; można obszedłszy ziemię dookoła — wrócić z prawej strony. Mamy bardzo wymowny, jaskrawy przykład konkretny. Carska Rosja była krańcowo prawicowa; wstrząśnienie 1905 roku odchyliło ją tak lekko na lewo, że po chwilowem zachwianiu cofnęła się niemal do dawnej pozycji. Dopiero wojna i przewrót marcowy w 1917 roku pchnęły tę potężną masę w zamierzonym kierunku i zaczęła się toczyć z zawrotną szybkością. Po Milukowie przyszedł Kierenski; po Kierenskim bolszewicy. Miesiące starczyły na przebycie wszystkich etapów, które w innych krajach trwało całe stulecia. Dość powiedzieć, że konstytucyjna demokracja nie zdążyła się nawet ukształtować, a już rozbił ją w puch przewrót społeczny. A w rezultacie, czy dokonał się jakikolwiek postęp? Czyż kraj cały nie cofnął się do przedhistorycznego barbarzyństwa, a system rządów do tyranji, jaką tylko zamierzehle wieki znały? — Dziś najcier-

wieśni władcy Rosji nie widzą dla niej bardziej wymarzonej przyszłości, jak choćby częściowe przywrócenie tego stanu cywilizacyjnego, jaki istniał przed przewrotem... Idąc wciąż na lewo, wrócili z prawej strony — po drodze była przepaść.

Kto w tym tragicznym eksperymencie rosyjskim nie widzi groźnej przestrogi i napomnienia, kto nie zastanowi się nad koniecznością zrewidowania swego ultralewicowego katechizmu, dla usunięcia z niego prawd, najoczywiściej do zbawienia nie wiodących, temu ani młode lata nauki, ani starość nie da doświadczenia, bo widocznie Duch Święty poskąpił im swych darów.

Przed czterema laty niemal wszystkie społeczeństwa europejskie manewrowały na lewo, powtarzając w różnej skali eksperymenty rosyjskie. Im dane społeczeństwo miało po za sobą więcej rewolucji i dłuższą drogę ewolucji, tem ostrożniej aplikowało nowe wskazanie, tem skuteczniej brońło się przed krańcowymi ekscesami.

Nowe państwa, te zwłaszcza, które czuły się bardzo cofnięte w swym rozwoju, usiłowały odrazu przeskoczyć całe odstęp, jaki oddzielał ich wczoraj od ich jutra, z pominięciem dnia dzisiejszego. W tem położeniu znalazła się Polska — a raczej nie cała Polska, lecz ci, co w danej chwili czuli się powołani do pokierowania jej losem, jako najlepiej przystosowani do ducha czasu. Ten duch wiał wtedy od wschodu.

Na szczęście — choć państwo młode — naród był stary. Miał za sobą dziesięć wieków tradycji historycznych, dziesięć wieków kultury zachodniej, a choć niewola przyćmiła świadomość i przerwała ciągłość linii rozwojowej, nie wytepiła zakorzenionych przez wieki instynktów. Instynkty te nie są niszczycielskie, ani okrutne, ani anarchistyczne, ani służalcze.

Lud polski wcale do przewrotu się nie rwał, rewolucji — mimo licznych zapowiedzi z góry — nie zrobił. To, co się dokonało w sensie społecznego przewrotu, zostało zgóry dla niego zaprowadzone i urządzone, a bynajmniej nie przez niego.

To też on, odpychając wysiłek i ryzyko przewrotu, chętnie sięgnął po jego owoce.

Z tego obrotu rzeczy wyniknął cały szereg następstw trwających do dziś, — choć — miejmy nadzieję — nie wiecznotrwałych. Rewolucja — w tych minjaturowych rozmiarach, w jakich się odbyła — została upaństwowiona. — W przeciwieństwie do tego, co było w całej Europie przed wojną, a w dalekiem odbiciu tego, co się stało w Rosji, wyrazy „lojalny“ i „rewolucyjny“ stały się synonimami, tak samo jak „kontrrewolucyjny“ i „antypaństwowy“. Kto nie wierzy, niech nauczy się trzeźwym okiem patrzeć na fakty: Czerwony sztandar, który na pogrzebie pierwszego prezydenta republiki górował nad krzyżami i chorągwiemi kościelnymi, a nosił napis: „Niech żyje rewolucja socjalna!“ był symbolem tego stanu rzeczy, a wymowniej, niż on sam, świadczyło o nim to, że nikogo on nie raził i nie drażnił, nawet policji i władz bezpieczeństwa, mimo, że rozporządzały wszystkimi nadzwyczajnymi pełnomocnictwami stanu wyjątkowego. Jedynym dziennikiem wydawanym kosztem państwa jest ten, który ma w nagłówku hasło: „Niech żyje rząd robotniczo-włościański!“ i „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“, a jedynym zrzeszeniem, korzystającym bezpłatnie z gmachu państwowego, robotnicze związki zawodowe — wyspecjalizowane w organizowaniu strejków! Tutaj nawiasem wtrą-

cę, że usuwa to całkowicie główny motyw, dla którego w przedwojennej Europie radykali stawali się konserwatystami w miarę posuwania się w lata i dla kariery w okresie dojrzałości; dla spokoju i wygody na starość. Dziś po karierę idzie się na lewo; spokojną i zabezpieczoną starość mają tylko emeryci lewicowych stronnictw.

Może dlatego młodość, szukająca zawsze ryzyka i chętnie łamiąca się z trudnościami, unika czerwonej szosy, obiera karkołomne ścieżki na prawo.

Drugim następstwem przewrotu z góry jest to, że szerokie masy otrzymały od razu z cudzej ręki obok darów, które cenią i które im przynoszą korzyść i takie także, których nie umieją używać, lub używają ich źle.

Gdy wykryto tu i owdzie tajne gorzelnie u fernali i parobków, i wyraziłam zdziwienie, skąd brali zboże, by pędzić wódkę, działacze ludowi bronili swych wyborców przed podejrzeniami: „Mają oni tak duże deputaty, że starczą im na i chleb i na wódkę“. Przypuszczam, że ten fakt nie jest normą, ale jest symbolem. Z reform społecznych i politycznych, które mogłyby się stać chlebem pożywnym dla mas, uwarzono gorzałkę, która je spaja i poniża zamiast podnosić. — Jeżeli vox populi powołał do izby ustawodawczej człowieka, który skorzystał z poselskiej godności, by ukraść platerę, jeżeli nietykalność poselska służy temu lub owemu do bezkarnych napaści z kijami na przeciwników, jeżeli związek zawodowy czuje się uprawniony do hamowania wolności prasy przez zecerską cenzurę i dopiero po kilkumiesięcznym strejku i lokaucie właściciele drukarni osiągają od niego zobowiązanie, że pracownik musi złożyć każdy rękopis oddany do składania (w Krakowie) — toć chyba każdy inteligentny postępowiec przyzna, że ścieżka na lewo głęboko zaszła w dół, a bynajmniej nie pchnęła naprzód cywilizacyjnej ewolucji.

Przytoczone fakty są drobne, powierzchowne — to prawda, — ale drobną i powierzchowną jast każda wysypka, nawet wtedy, gdy choroba jest ciężką, jak ospa. — Miejmy nadzieję, że u nas to nie ospa, nie tyfus plamisty, lecz odra, którą przebywa każdy młodociany organizm. To też nie mam bynajmniej zamiaru dramatyzować tych symptomatów, które zresztą robią nieraz raczej komiczne wrażenie.

Reformy — po doktrynersku obmyślane i aplikowane, są dla naszego ludu, jak suknia zrobiona nie „na miarę“, lecz zdjeta z jakiegoś eleganta, całkiem odmiennej postaci, który w niej tak wspaniale paradował, że budził podziw i zazdrość. Nie chcemy żadnej innej, tylko tę samą! niech zdejmie i odda! I oto ani szata osoby, ani osoba szaty nie ozdobiła.

Poszliśmy na lewo, ale nie mamy ani demokracji ani postępu.

Nie na tem bowiem polega demokracja, by każdemu z wyjątkiem „magnatów i prałatów“ bez różnicy wykształcenia i wychowania pozwalać potrosze rządzić krajem, powoływać na próbę na ministerjalne fotele to chłopca, to odzwiernego z fabryk, to wędrownego agitatora socjalistycznego, który dopiero po wybuchu niepodległości zaczął używać własnego nazwiska i stałego miejsca zamieszkania. Nie na tem także, by o skądzie izby, prawodawczej decydowały ciemne tłumy analfabetów, nie umiejących odczytywać nawet

numeru kartki wrzuconej do urny, a cóż dopiero całych nazwisk — nie mówiąc już o znaczeniu tych nazwisk.

Może też już dzisiaj wolno wyrazić wątpliwość, czy walka klas jest jedyną i niezawodną dźwignią postępu, ale w każdym razie warto i należy przypomnieć, że i twórcy danej doktryny nie widzieli w niej treści i istoty postępu, nie zalecali walki klas „en permanence” jako zdrowego, normalnego stanu społeczeństwa.

Demokracją nie jest przeszczepianie starych chorób na świeże organizmy, tworzenie nowych klas uprzywilejowanych w miejsce dawnych i rozgrzeszanie ich zgóry za te same nadużycia i bezprawia za które piętnujemy poprzedników. Poniżanie wywyższanych, wywyższanie poniżonych, to odwet, ale to nie reforma. Demokracja dąży do tego, by nikt nie mógł być poniżonym i nikt unieżyć się nie potrzebował, ani przed najjaśniejszym proletariatem. Służalstwo ubliża godności ludzkiej zawsze; inna rzecz służba, wierna, rzetelna odczynnie, dobru publicznemu, ideałom ludzkości.

Można dowodzić, że postęp wiedzie umysł ludzki od ślepej wiary katechizmowej do rozumowego, filozoficznego pojmowania świata, ale zastąpienie wiary katechizmowej czcią bałwanów, fanatyzmu kościelnego fanatyzmem antykościelnym nie jest postępem.

Przewrót od głowy poczęty — nie tyle w kraju, ile w głowach uczynił spustoszenie i wywołał chaos. Od głów też winna się zacząć sanacja i odbudowa.

Jeżeli nie poszliśmy wstecz, to jednak wpadliśmy w zastój. Stoimy na martwym punkcie w życiu polityczno-parlamentarnym; w błędnem kole znalazła się gospodarka i finanse, paraliżem porażony jest ruch budowlany, odbudowa w dosłownym a także i przenośnym znaczeniu.

Uwięźliśmy na lewym torze, możeby tak troszeczkę skrócić na prawo? Czy nie uda się wybrnąć i z miejsca ruszyć?

I. Moszczeńska.

NA MARGINESIE.

Ile razy jakiś nowy minister skarbu zabiera się u nas do naprawy finansów, mam za niego tremę. Może dlatego, że nie posiadając żadnej w tym kierunku kompetencji, nie mogę sobie nigdy zdać sprawy, czy „naprawianie” czegoś nie zepsuje. Tyle bowiem tylko rozumiem, że ustrój gospodarczy i finansowy jest aparatem niestęchającym skomplikowanym i subtelnym o tysiącnych, niedostrzegalnych gołem okiem kombinacjach i zażębieniach, gdzie każda drobna pomyłka, każda niebrana pod rachubę niedokładność może zatrzymać ruch całej maszyny lub nawet ją samą zniszczyć.

Mam tedy takie wrażenie, jak patrząc na rozbijanie kunsztownego zegarka, rozkręcanie śrubek, wyjmowanie sprężyn. Przypuśćmy, że jakiś stalowy włosek, jakaś odrobinka — osunie się na podłogę i zginie. Już po zegarku! Gdy jest w ręku fachowego zegarmistrza, zamykam oczy i pocieszam się, że przecież ten człowiek już niejedną zegarek złożył i sprzedał, a niktby od niego nie kupował, gdyby jego zegarki nie cho-

dzili, że ostatecznie — zażadam rocznej gwarancji.

Gdzież tu jednak znaleźć fachowego ministra skarbu, o którym możnaby powiedzieć: „Naprawił finanse tu i tam, więc naprawi i nasze”. Był jeden taki, Biliński. Zaczął naprawiać, ale mu skończyć nie dano. Jedni tego żałują, inni nie. Mówią, że przedwojenne finanse a powojenne, to całkiem inna robota; że Austria była stara, więc stare metody pomóc jej mogły, a młodziutki organizm nasz wymaga całkiem nowoczesnych środków leczniczych. Może promieni Roentgena, może radio?

Promieniami Roentgena w polityce skarbowej możnaby nazwać jakiś subtelny, jasnowidzący instykt psychologiczny, któryby zgóry przewidzieć zdołał, jak ogół reagować będzie na te lub owe reformy podatkowe i gospodarcze. Kalkulowano na przykład, że znaczne podwyższenie podatku gruntowego zmusi rolników do obfitszego wytwarzania i skwapliwszego spieniężania ziemiopłodów, skutkiem czego żywność stanieje, siła nabywcza marki wzrośnie, kurs jej się podniesie, cała maszyna rządowa ładniej funkcjonować będzie — i tak dalej, prostą gładką drogą potoczmy się ku powszechnej pomyślności. Tylko nie można zgóry wiedzieć, czy rolnicy — zamiast wytwarzać i sprzedawać więcej, nie spróbują tej samej ilości produktów sprzedawać drożej, albo je cichaczem wywozić przez Gdańsk zagranicę, albo — jeśli mają gdzieś pochowane dolary — sprzedawać je częściowo na opłacenie podatków, albo potajemnie warzyć wódkę dla osiągnięcia wyższych zysków.

Bez uwzględnienia takich obyczajowych i psychologicznych czynników, rachunek, który znakomicie przedstawia się na papierze, w którym cały plan jest logicznie skonstruowany, a wszystkie cyfry zgadzają się z precyzją wymienną — może się okazać całkowicie chybiony, gdyż nie przystaje do życia, a rzeczywistość kłam mu zadaje.

Sądzę też, że dziś nikt nie może z absolutną pewnością twierdzić, czy program p. Grabskiego jest genialny, czy fatalny.

Podobno na opłacenie podatków w zamierzonej przez niego skali nie starczy cała gotówka będąca dziś w Polsce w obrocie, ale któż zgóry przewidzieć zdoła, czy skutkiem wprowadzenia w życie tych zamierzeń nastąpi brak gotówki i paraliż gospodarczy, czy też przy umiejętnie uproszczonym systemie ściągania podatków takie przyspieszenie obrotu, że szybkość cyrkulacji pieniądza dorówna szybkości aeroplanowego śmigła? Ostatecznie rząd bierze pieniądze na to, by je natychmiast wydać; bierze dlatego, że wydawać musi, więc one z kas rządowych wracają napowrót tam, skąd przyszły.

Żadna z tych subtelnych wątpliwości nie niepokoi warszawskiego magistratu. Rada miejska sypie uchwałę za uchwałą, bez żadnego planu i programu, a co radni wymyślą, magistrat rozporządza. Ponieważ ostatnia podwyżka kursu tramwajów zmniejszyła frekwencję i dochody z obrotu, przeto — postanowiono dalsze podwyżki dla pokrycia powstałych stań niedoborów.

Najmniejszych nie wyrażano wątpliwości, czy

dzięki temu jeszcze więcej osób nie zechce pieszko odbywać choćby najdalszych i najkonieczniejszych kursów. Mniejsza o to; ci, co jadą, muszą zapłacić i za siebie i za tych, co jechać nie chcą. Jeśli tak dalej pójdzie, to tylko plutokracja będzie jeździć tramwajami, o ile nie uzna, że — bądź co bądź — samochód jest dogodniejszy, oszczędza więcej czasu a wiele droższy nie jest.

Wprawdzie dla ludzi pracujących „czas to pieniądz“, ale czas dostaje się darmo, a na pieniądze zarobić trzeba i zarobić coraz trudniej. — Nie bez przyczyny miasto skasowało część zegarów miejskich. Po co ma się kto spieszyć?

Magistrat tedy robi próbę wytrzymałości swych kontrybuentów — przez wszechstronne podwyżki wszystkich opłat i świadczeń. Tylko jeszcze powietrze nie drożeje, ale go za to coraz mniej, bo ludzie coraz gęściej mieszkają.

Żyjemy tedy w epoce wciąż nowych prób eksperymentów na polu gospodarzem i finansowem. Rząd i samorządy uczą się, jak należy a jak nie należy administrować groszem publicznym. Ta dotkliwa dla pacjentów praktyka, może byłaby przynajmniej źródłem wielkich odkryć i zbawienych wynalazków, gdyby jakąkolwiek próbę doprowadzono do końca. Niestety, nigdy na to nie ma czasu. Nasi ministrowie-zegarmistrze od mechaniki skarbowej nie mogą dać żadnej terminowej gwarancji, gdyż sami gwarancji nie mają, czy im dadzą robotę zaczęłą wykonać. Michalski chciał gwarancji trzyletniej; w trzy kwartały naprzykrzył się, i zapoczątkowaną robotę zostawił Jastrzębskiemu. Ten majstrował niewiele więcej, niż trzy miesiące; zostawił nam na pamiątkę pożyczkę złotą, jak inni „pożyczkę Odrodzenia“ lub „miljonówkę“, i poszedł odpocząć na laurach.

Całe nasze finanse pełne są takich pamiątek po ministrach, zasuszonych kwiatków, które kiedyś miały wiosenną woń i barwę różowych złudeń — a teraz w proch się sypią!

Czy kiedy taki kwiatek wyda owoce i nasienie?

Może, może Grabski wyhoduje jakiś plon — jeśli doczekać mu go dadzą.

Reflektor.

JULJAN BENDA.

Autor kilku prac filozoficzno-krytycznych i dwóch powieści, *L'Ordination* i *Les Amourandes*, która to ostatnia ukazała się w druku obecnie, Julian Benda należy do rzędu pisarzy, nie mających czytelników przypadkowych ani obojętnych. Każdy z jego utworów wywołuje bardzo ożywione, czasem namiętne wprost dyskusje i komentarze. Rzecz, która poprzedziła ostatni z nich, a mianowicie *Belfegor*, essay o estetyce współczesnego społeczeństwa francuskiego, jak określa swą pracę sam autor, stała się, z racji toczących się naokół niej polemik, prawdziwym ewenementem literackim. Że zaś rzecz ta stanowi właściwie streszczenie i zreasumowanie ideologii, której dał już pisarz wyraz w swych poprzednich dziełach, przeto p. Benda jest dziś dla nas przedewszystkiem autorem *Belfegara*.

Problematem, naokół którego obraca się cały jego dobytek, jest antyteza inteligencji i uczucia,

dażność do dawania wrażliwości przewagi nad argumentami rozumu, do wynoszenia sugestji instynktu ponad nakazy logiki. Benda potępia bezwzględnie tę dażność, której nadaje miano feminizmu literackiego, już w jednej z pierwszych swych produkcji *Le Dialogue d'Elenthere* (Cahiers de la Quinzaine, 1911). Bohater tego utworu, złożonego z serji dialogów o charakterze powieściowym, poddaje ostrej, chwilami zjadliwej krytyce całą estetykę współczesną z jej ujawniającą się coraz wyraźniej, jego zdaniem, pogardą i nawet nienawiścią dla intelektualizmu, idącą w parze z uległym hołdowaniem instynktowi i pociąganiem do wszytkiego, co jest namiętnością, stawianiem się nie zakrzepłym w żadne formy, życiem w jego ruchu i nieokreśloności. Ale z większą jeszcze stanowczością i większym rozmachem bojowym zwalcza filozofję. Życia i intuicjonizm w pracy p. t. *Bergsonizm*. Doktryna autora *Ewolucji twórczej*, a więcej jeszcze wnioski, jakie wyprowadzają z niej niektórzy z jego adeptów, mają w nim najbardziej zdecydowanego przeciwnika. Czyni więc Bergsona odpowiedzialnym za nieprzytomne bełkoty wszystkich snobów płci obojga, powołujących się na jego nauczanie, za rzekome wibrowania wewnętrzne przelicznych estetów wobec „tajemnicy rzeczy“, wibrowania, w których doszukiwalibyśmy się daremnie jakiejś treści, za wszelkie beładne i dorywcze produkcje, w których ma świecić tryumfy bezpośredniość, za wszystkie jednym słowem wzbogacenia, ku którym skrajne lub fałszywe interpretowanie intuicjonizmu powiodło wszelakich niepowołanych. Ale czy wyprowadzanie najdalej idących konsekwencji z teorii samego p. Benda nie powiodłoby do również niebezpiecznych absurdów?

Autor *Bergsonizmu* nie zadaje sobie pytania i całkowicie pochłonięty przez absorbujący go problemat, szereguje nadal swe oskarżenia. Nikt nie może zarzucić mu rozproszenia ideologicznego. Jest dosłownie człowiekiem jednej idei. Wszystkie argumenty, które słyszeliśmy w *Dialogu Eleuteriusza* i w *Bergsonizmie*, powracają w *Belfegorze* *), uzupełnione, podkreślone, zaakcentowane jeszcze dobitniej, przepojone głębszą jeszcze ironją. Kabalistyczna postać Belfegara ma wcielać w siebie całe zło, jakim nasiąkły dziś warstwy oświecone, przeciw którym skierowuje wyłącznie Benda ostrze swej krytyki, a więc zanik lub rozluźnienie wszystkich dyscyplin duchowych i rozpętanie wrażliwości, która opanowała wszechwładnie wszystkie dziedziny życia, — zarówno literaturę i sztukę, jak metafizykę i socjologję. Nietylko już żyjemy pod znakiem jej przeczulenia i hipertrofji, ale na domiar jestto wrażliwość, cechująca specjalnie epoki dekadencji, a mianowicie nie plastyczna a muzykalna. Wrażliwość plastyczna, związana zasadniczo z pojęciem formy, jest wrażliwością ześrodkowaną, skupioną, stawiającą nas wobec wrażeń ujętych w wyraźne kontury. Wrażliwość muzykalna zacierą przeciwnie wszystkie linje i lubuje się w sztuce „nareszcie wyzwolonej ze wszystkich kategorii przestrzeni“ i rozplywającej się w nieokreśloności. I oto w swym kulcie „czystego uczucia“, jako najistotniejszego źródła ekstazy

*) Emile-Paul, 1919.

i upojenia, dąży dzisiejsze społeczeństwo do umykalnienia nawet ideologii. Tę to jego estetykę osądza p. Benda z całą surowością i nadaje jej miano belfegoryzmu. A nie zapomina przytem o roli, jaką w tryumfach tej estetyki odgrywa kobieta, wynosząca ponad wszystko bezpośrednio i intuicyjność, cechy charakteryzujące wybitnie ją samą.

Ale potępiając słusznie wykrzywienia i chorobliwą wybujałość wrażliwości, autor *Belfegora* ulega jej zbyt sam, okazując się w swych wywodach wysoce namiętym polemistą. Ta prawdziwa furja bojowa, z jaką atakuje dzisiejsze społeczeństwo i sprawców moralnych krwawiącego się w niem zła, prowadzi jego również do przejasnienia i krańcowości. Stąd szuka dowodów na poparcie swych twierdzeń w tekstach najskrajniejszych teoretyków sztuki, zredukowanej wyłącznie do elementów uczuciowych. Z drugiej strony przyznaje sam, że belfegoryzm, podobnie jak romantyzm, istniał zawsze, przeto i w tak zwanych epokach klasycznych. Zachodzi tu tylko, jak zaznacza również sam, kwestja stopnia — przewagi w pewnych okresach pierwiastków intelektualnych, w innych wrażliwości. Dziś przeważa niewątpliwie w dużym stopniu ta ostatnia; inteligencja słucha nazbyt powolnie nakazów zmysłów, domagających się jedynie wyczuwania i coraz nowych pobudzających je podnieć. Mimo jednak to rozkiełznanie wrażliwości i jej zachłanność, niepodobna zgodzić się ze zdaniem p. Bendy, rozpoczynającego swego *Belfegora* od słów: „Dzisiejsze społeczeństwo francuskie żąda od dzieł sztuki wzruszeń i wrażeń; nie chce już zaznawać przez nie żadnych rozkoszy intelektualnych“. Słusznie też zauważył jeden z krytyków, zbijając, a właściwie sprostowując jego zarzuty, że społeczeństwo to nie chce raczej przykładać swej inteligencji do niczego poza rzeczami, dającami mu wzruszenia i wrażenia — i to jest już dostatecznie niepożądanym objawem. Inny, p. Gaetan Bernorille, wystąpił w odpowiedzi na akt oskarżenia p. Bendy z książką p. t. *Minerve ou Belphegor*, w której, zgoła trafnie nieraz, zwalcza przeciwnika jego własnymi argumentami i zacieśnia sferę akcji *Belfegora*, stwierdzając jednocześnie, że *Minerva* nie jest jednak w naszej epoce pokrzywdzona tak bezwzględnie, jak tego dowodzi p. Benda. I jeśli autor *Belfegora* potępia słusznie szkołę, która pragnie jedynie „żyć“, uczucia i namiętności, wyrzekając się ich zrozumienia, to jednak zapomina zbyt, że wizja artysty nie może nie różnić się od koncepcji uczonego i chce nas nagiąć w swym dogmatyzmie do zbyt sztywnego i wyłącznego pojęcia inteligencji. Nie mniej jedaak jest ze wszech miar wybitnym szermierzem dobrej sprawy. Raz po raz budzi czytelnika z odrętwienia, paraliżującego jego władze krytyczne, i chłoszcze jego rozleniwienie intelektualne. A dodajmy, że czyni to w sposób równie żywy, jak interesujący, umiając przybrać abstrakcję w formę niezwykle jasną, zwięzłą i dostępną.

Jak już zaznaczyliśmy na wstępie, p. Benda zwrócił się po dwakroć do powieści. Ale powieść ta pozostaje nawskroś dziełem intelektualisty i obraca się w sferze zagadnień duchowych i moralnych. Pierwszym jego utworem w tym kierunku była jak wspomnieliśmy to już również, rzecz

p. t. *L' Ordination* (Wyświęcenie) (!) Autor zobrazowuje w niej dwie fazy konfliktu inteligencji i uczucia w sposób, powiedzmy zgóry, mało przekonujący. W pierwszej inteligencja zwycięża skojarzone „moce słabości i poddania“: młody intelektualista, bohater powieści, przestaje słuchać głosu serca, a właściwie litości i, po długich wahanach i ciężkich walkach wewnętrznych, zrywa z kobietą, dla której był wszystkim, ale której nie kocha już sam. Jest twardym i opiera się „truciznie litości“, bo chce być silnym i wolnym. Woła go życie myśli, życie twórcze! I to jego wyzwolenie się po przez cierpienie nazywa autor, nazbyt stanowczo patetycznie „wyświęceniem.“

W drugiej części powieści ukazuje się nam w dziesięć lat później. Zrealizował swoje pożądanie. Ożenił się, ma córkę, ale ognisko domowe nie absorbuje go i nie paraliżuje jego władz duchowych. Może oddawać się całkowicie swym spekulacjom transcendentálnym i pracuje istotnie nad wielkiem dziełem filozoficznym. Ale oto u dziecka deklarują się początki gruźlicy kostnej i fakt ten nietylko wstrząsa nim do głębi, co jest zrozumiałem, ale wywołuje w nim również zupełny przewrót wewnętrzny, co już wydaje się mniej jasnym, a nawet zgoła niewytłomaczonym. W chorobie córki widzi karę spadającą nań za egoistyczne zamknięcie się w swych studjach metafizycznych i mimo iż stan jej polepsza się znacznie, wyrzeka się swej pracy, ażeby być już tylko ojcem i mężem. Bohater p. Bendy jest nazbyt książkowym i stwarza sobie sztucznie imaginacyjne komplikacje, nie umiając pogodzić życia uczuciowego i intelektualnego i głosząc ich zasadniczy antagonizm. Ale mimo wszystkie usterki rozumowania młodego filozofa, zawiedzionego w swych ambicjach i nadziejach, talent pisarza uczynił z analizy jego przeżyć duchowych książkę piękną, obfitującą w przenikliwe i ciekawe spostrzeżenia. Mizoginizm p. Bendy dyktuje mu też nieraz refleksje dość okrutne, którym jednak nie można odmówić dużej dozy słuszności.

Druga jego powieść *Les Amourandes* wywołała już przed ukazaniem się w druku komentarze i dyskusje. Podobnie jak *Wyświęcenie*, książka ta składa się z dwóch przeciwstawiających się sobie wzajem części. I podobnie, jak w *Wyświęceniu* niema tu żadnej intrygi, żadnych przygód. Ostatni utwór p. Bendy jest powieścią czysto psychologiczną, stawiającą nas wobec dręczących konfliktów wewnętrznych, wywołanych przez tragedję uczuć, tkwiących w najtajniejszych, podświadomych głębiach istoty. Sam pisarz cytuje z powodu tej książki Freuda i Gastona Danville'a, autora *Psychologii miłości*, wychodzącej z założeń bardzo zbliżonych do doktryny Freuda. Pierwsza część powieści obraca się istotnie naokół sytuacji, stanowiącej wymowną ilustrację teorii zarazem Freuda i Danville'a. Wytwarza ją namiętna miłość młodego Szczepana d'Hirsange dla kobiety znaczącej nie odeń starszej, — miłość, której daleką przyczyną i źródłem jest rodzaj uczucia, jakie miał w dziecięcych latach dla matki, a którą jednocześnie umacnia fakt, że wybrana stanowi wcielenie ideału, urabiającego się nieświadomie (według Danville'a) w duszy każdego mężczyzny z pierwszych mglistych i nieokreślonych wrażeń dziecka, a który jedynie, o ile się go spotka

w życiu, może dać pełnię szczęścia. Los przychylny pozwolił Szczepanowi zaznać tego szczęścia, ale nie wszyscy w jego rodzinie podzielają jego zapatrywania w tym kierunku. Związek jego z nierównie starszą odeń kobietą obraża tak dotkliwie wszystkie pojęcia moralne jego ojca, że pod naciskiem tego ostatniego przyjdzie w końcu między dwojgiem kochanków do zerwania.

Szczepana żenią i w drugiej części powieści widzimy go mężem młodej i słodkiej istoty, całkowicie odmiennej od „promienistego i macierzyńskiego typu“, odpowiadającego jego najgłębszym pragnieniom i potrzebom, który urzeczywistniała jego ukochana. Mimo walk, jakie stacza ze sobą, nie przestaje jej pożądać, a jej wspomnienie stoi wciąż, jednak żywe i bolesne, między nim a niewinnym stworzeniem, z którym związały go losy. W końcu jednak zwycięża w tych zmaganiach z jątrzącą się wciąż namiętnością pierwiastek społeczny. Zwyciężają powoli, stopniowo siły organizacji i ładu społecznego, jakie przedstawia małżeństwo i rodzina. Licząc się bowiem z akcją wszystkich podświadomych czynników życia psychicznego, autor uważa, że działają jednak poza nimi i inne elementy, dochodzi do głosu rozum i wola, ważne wprawdzie od wszystkich owych ukrytych sił, jaźni, ale mogące mimo to opanować je w pewnym stopniu.

P. Benda nie jest wolny, jak widzieliśmy, od krańcowości i związanej z nią ściśle jednostronności, co osłabia często wagę jego konkluzji. Ale należy do szczupłej garstki pisarzy dzisiejszego pokolenia, którzy bronią z największą wytrwałością praw Minerwy przeciw Belfegorowi, inteligencji przeciw wszechwładzy instynktu, ładu i organizacji przeciw wszechanarchji.

R.

WRAŻENIA TEATRALNE.

Teatr Rozmaitości: „Wieczór Trzech Króli“ Shakespeara. Teatr Polski: „Pan Jowialski“ Fredry. Teatr im. Bogusławskiego: „Królewski jedynak“ Rydla.

Opuszczając budynek Teatru Rozmaitości po przedstawieniach „Małżeństwa z musu“ i „Grzegorza Dymały“ Moliera a ostatnio „Wieczoru Trzech Króli“, nie mogłem uwolnić się od jednego wrażenia: że teatr ten boi się śmiać głośno. I chociaż przedstawienie molierowskie było w swoim rodzaju świetne, jednak jakby brakło mu tego — powiedzmy — szerokiego oddechu, który pozwala na wesoly, pusty nawet śmiech, jaki rozlegać się może na widowni tylko wtedy, jeżeli i aktor śmieje się pełną piersią — i całą duszą. Ponieważ tego w przedstawieniu Rozmaitości nie było, mieliśmy tylko wzorowe przedstawienie, znakomite kreacje Frenkla, Solskiego, Solskiej — ale nie było tego „smaczku“, któryby zdecydował o głośnym, a przecież nie za głośnym śmiechem.

Nie jest to bynajmniej zarzut z mojej strony. To, co obserwujemy obecnie w Rozmaitościach nazwać należy gruntowną restauracją i kuracją, odbywaną pod okiem tak niepospolitego lekarza-artysty, jakim jest dyr. Solski. Nie można więc wymagać za wiele. Jestto niezaprzeczoną, wielką zasługą dyr. Solskiego, że w teatrze, w którym w ubiegłym sezonie panoszyły się utwory bezwar-

tościowe, w krótkim stosunkowo czasie zdążył wystawić dzieła takie, jak wspomniane wyżej komedje Moliera, „Cyd“ Corneilla i „Wieczór Trzech Króli“. I co więcej: dał im piękną szatę zewnętrzną, szatę, która nie przygniatała swym ciężarem kreacyj aktorskich, lecz je podkreślała, dał im wykonanie starane, czasami wzorowe. To bardzo wiele w warunkach, w jakich obecnie Teatr Rozmaitości pracuje, żądać więcej nie można.

Należy tylko skonstatować, że — jeśli będziemy abstrahować od tych specjalnych warunków i kuracji, jaką Rozmaitości przechodzą — dla całokształtu wrażenia wykonanie „Wieczoru Trzech Króli“ było za — „akademickie“. Przepyszna tę komedję, na którą złożyły się: sentyment i poezja, humor i weselość, żartobliwość i rubasność, nastrojono na jeden tylko ton a zapomniano o kilkudziesięciu innych. Dano piękny i poetyczny obrazek a przeoczono te uciechy karnawałowe, jakie tkwią w komedji Shakespeara. Ujęcie inscenizacyjno-dekoracyjne było bardzo dobre. Uproszczenie dekoracji, nie pozabawionych wcale fantazji i dobrego smaku, powiodło się Drabikowi w zupełności. Szkoda jednak, że figury i figurki ruszały się zbyt sennie, zbyt niemrawo. Szkoda, że zamiast karnawału, który powinien huścić na scenie, nastrój był nieco — postny. Gdybyż tak wszyscy mogli dostosować się do tego poziomu, na jakim stoi kreacja Chudogęby — Solskiego, mieniająca się najrozmaitszymi barwami świetnej, artystycznej groteski. Gdybyż interpretacja Zahorskiej była mniej sztuczna! Gdybyż wszyscy mieli choćby tyle bezpośredniości ile okazała p. Cieszkowska. O ileż byłoby weselej na scenie — i na widowni.

Taki rezultat weselości osiągnął Teatr Polski „Panem Jowialskim“. Komedja Fredry nie straciła w interpretacji Teatru Polskiego swych nieśmiertelnych rumieńców a artyści okazali, że i dzisiaj można zagrać Fredry nie tylko starannie — ale *przedewszystkiem wesolo*. A zwłaszcza w „Panu Jowialskim“ trudno to osiągnąć, bo bardzo łatwo przeaczny pan domu Jowialskich może stać się nudny. A jednak Stanisławski dał mu tyle serdecznego ciepła, tyle poezji i jowialności, że starszek ten zyskał sobie szczerą sympatię całej widowni. Dzielila ją w całej pełni i pani Jowialska w interpretacji Czaplńskiej i pełen ognia Ludomir Leszczyńskiego a — przedewszystkiem — niezrównany szambelan Zelwerowicza.

Teatr Polski zwrócił tym razem uwagę nie tylko na widowiskowe cechy przedstawienia, które narzucają się pomysłowemu reżyserowi zwłaszcza w scenie „tureckiej“, ale też o wydobyć jak najwięcej cech komizmu, czy też poezji z poszczególnych kreacji. Stało się dobrze. Zewnętrzność nie przygniotła w ten sposób dzieła Fredry, które dzięki temu wystąpiły nader wyraziście, w śmiałych, szeroko pomyślanych konturach. To, czego brakło w przedstawieniu „Wieczoru Trzech Króli“ w Rozmaitościach, tutaj tkwiło w samych kreacjach.

Z prawdziwą radością podnieść należy, że Teatr im. Bogusławskiego trafił na *swój* repertuar. Zadaniem tego teatru popularnego nie powinno być tylko krzewienie piękna, ale — co więcej — zamięłowanie do naszej przeszłości. I dlatego dobrze się stało, że dyr. Gorczyński wystawił „Królewskiego jedynaka“ Rydla. „Trylogja Zygmuntowska“ odsłania jedną z najświetniejszych kart naszej historii. Nie stworzył wprawdzie Rydel

prawdziwego dramatu historycznego, przypomniał dzieje ostatnich Jagiellonów głównie ze strony anegdotycznej, ale uczynił to w formie szlachetnej i przystępnej. I dlatego na deskach Teatru im. Boguławskiego jest miejsce do realizacji nie pierwszej tylko części, ale całości „Trylogii Żygmuntowskiej“. Spodziewać się należy, że za nią pójda inne dramaty, odtwarzające naszą przeszłość. A może pobudzą też do zaniedbanej obecnej i „niemodnej“ twórczości w tym kierunku.

Wiktor Brumer.

O MASARYKU.

Ciekawy i bardzo pouczający odczyt o Tomaszu Masaryku, znakomitym filozofie czeskim i prezydencie Rzeczypospolitej Czesko-słowackiej wygłosił prof. Adolf Czerny, w niedzielę 25 lutego, w sali Tow. Naukowego. Pouczającą dla nas jest już sama ta miłość powszechna, którą otaczają Czesi swojego wielkiego uczonego i patriotę, swój wielki autorytet. My staraliśmy się pomniejszać nasze autorytety, w walce partyjnej obdzieramy najwybitniejsze jednostki z wszelkich zasług. Czesi rozumieją, że wielcy ludzie, to bogactwo narodowe, o które cały naród bez różnic partyjnych dbać powinien.

Pouczający jest, oparty na pracy i miłości żywot Masaryka-filozofa, pedagoga, działacza społecznego i polityka umiającego łączyć idealizm z poczuciem realizmu. Ciekawy jest pogląd Masaryka na kompromis w życiu politycznym: „na kompromis w pracy zawsze trzeba iść, na kompromis zasad nigdy“. Głęboka jest myśl jego o potrzebie tolerancji w walce partyjnej: „Mylnem było by wyobrażać, że w świecie walczy prawda z nieprawdą; walczą ludzie, z których każdy widzi swoją prawdę“. Kiedyż my to zrozumiemy?

Odczyt o Masaryku był zakończeniem nadzwyczaj ciekawego kursu prof. Czernego o literaturze i myśli czesko-słowackiej.



Najlepszym do użytku
w kuchni jest
tłuszcz jadalny „CERES“

Nowa Reforma

najpoczytniejsze i największe pismo demokratyczne w całej Małopolsce. Korespondenci własni w kraju i wszystkich głównych stolicach europejskich.

Najlepsze i najświeższe wiadomości giełdowe i ekonomiczne (specjalny dział ekonomiczny).

Najsukuczniejszą reklamę zapewnia dobrze rozwinięty dział inseratowy.

Redakcja: Kraków ul. Jagiellońska 10, II p.

Administracja: Kraków ul. Św. Anny 3.

PKO. 140,96. T. 1. Międzyzmiast. 1572.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi: za marzec **6000 mk.**

Za granicą w krajach z wysoką walutą kwartalnie **13 franków**. W Ameryce **1 dolar**.
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena № pojedynczego 1500 mk.

Cena ogłoszeń: cała strona 400.000 mk. 1/2 str. 200.000 mk. 1/4 str. 100.000 mk. 1/8 50.000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp.
codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa i Wspólna № 54, tel. 266-07.